Nr. 25. Warszawa, dnia 20 (8) Czerwca 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty i prosimy o możliwie wczesne nadsyłanie jej.

POLITYKA.

PODRAŻNIONY OLBRZYM.

Kilkakrotne wybuchy nienawiści i napady chińczyków na ludność europejską posiadają większą wagę, niż zwykłe walki różnoplemiennych tłumów. Pamiętać bowiem trzeba, że dzieci „państwa niebieskiego“ oddawna już sarkają na gospodarujących u nich przybyszów z zachodu; że w naturze tego ludu spoczywają pierwiastki niezmiernie upartego fanatyzmu, a w stosunkach ekonomicznych — pobudki do ruchów rozpacznych; że wreszcie nie jest on tak nieświadom swej potęgi, jak twierdzą powierzchowni obserwatorowie. Cywilizacya chińska jest martwa, skostniała, ale w każdym razie cywilizacya i to dosyć wysoka. Przypuszczać, że ona nie pozwala swym wychowańcom rozumieć potęgi 500 milionowego zbiorowiska ludzkiego i znać sił państw europejskich, kolonizujących wybrzeża Chin— byłoby złudzeniem. Tak ograniczeni chińczycy nie są. To też gdy Francya za rzezie, dokonane na jej poddanych, zagroziła im blokadą Nankinu, odpowiedziano jej nowemi. Znaleźli się w Europie ludzie tak dziecinnie podstępni, czy też dziecinnie naiwni, którzy zaczęli podburzać Francyę do wojny z Chinami. Gdyby na miejscu Carnota siedział piątoklasista, który już nauczył się czegokolwiek z dziejów świata, z pewnością nie naraziłby swego narodu na taką awanturę. Tem mniej uczynią to ludzie rozumni i dojrzali. W Chinach europejczycy mogą sobie słać gniazda, jak ptaki w schronisku słonia, ale nie mogą tego słonia wyzywać do walki. Jest to bowiem olbrzym, straszny samą swą wielkością. Niepodobna sobie wyobrazić, co by się stało z Europą, gdyby nagle wezbrał i wlał się do niej ten ocean ludzki. Chińczycy nie mają kolei żelaznych, doskonałej broni itd., ale nie ma również karabinów Lebla i prochu bezdymnego szarańcza, a jednak zwycięża francuzów w Algierze i pokonałaby ich, gdyby zechciała, w ich ojczyźnie pomimo milionowej armii. Kolos, drzemiący w niezmierzonej kotlinie Azyi, jest tak groźny, że jeden z poważnych polityków angielskich przepowiada mu niedługo panowanie nad światem. W trwodze o przyszłość twierdzi on, że Europa zniknie jak wyspa pod zalewem mongolskim.

Chociaż — jak rzekliśmy — chińczycy pojmują potęgę swojej ilości, nie byliby oni przez samą tę świadomość tak niebezpieczni, gdyby z nią nie łączyło się nadmierne przeludnienie. Miłosierne ich rzeki w powodziach swoich topią corocznie tysiące biedaków, ale nawet przerzedzone w ten sposób mrowisko na zajmowanej przestrzeni wyżyć nie może. Rozłazi się więc po całym świecie, na którym nie ma kraju, gdzieby chińczyk się nie wcisnął i nie wyparł innych ras z pola walki o byt. Za szczyt trudności w tej walce zwykliśmy uważać współzawodnictwo z żydami. Kto wszakże tkwi w tem złudzeniu, ten powinienby bodaj powierzchownie poznać doświadczenia, poczynione na rozmaitych punktach globu, a zwłaszcza w Ameryce, z chińczykami. Gdziekolwiek ich wpuszczono większą gromadą, stamtąd wkrótce musiały uciekać wszystkie inne rasy. Nawet niemcy i irlandczycy, bardzo oporni, nie zdołali dotrzymać im placu. Żyd wydaje nam się niebezpieczny przez swą przebiegłość i ograniczone potrzeby. Chińczyk posiada te właściwości w daleko wyższym stopniu, a nadto zdumiewającą i nieznaną innym narodom pracowitość. Mogło to być nieprawdą, że Bismark, po zamknięciu granicy dla najmitów z Królestwa, zamierzał sprowadzić kuli'ów; ale jeżeli pisma humorystyczne przedstawiły ich zaprzężonych do sochy, to ilustrując waryacki pomysł, jednocześnie doskonale scharakteryzowały robotników chińskich. Dla wyżywiania się wystarcza im garść ryżu lub czasem główka czosnku, dla spoczynku — kilka godzin snu na barłogu. Reszta jest zbytkiem, którego sobie łatwo odmawiają, pragnąc tylko istnieć i mnożyć się... mnożyć jak owady.

Takiego narodu, który liczy 500 milionów głów, który w pogardzie dla życia płata sobie dobrowolnie brzuchy przy lada sposobności, który karmi się głodem, który pokrzepia się trudami, który za mizerną zapłatę umie przez lata całe wydłubywać z kości słoniowej jajka w jajku bez rozcięcia, który zdaje się nie mieć ludzkich potrzeb i nie doznawać ludzkich znużeń — takiego narodu Europa nie może drażnić lekkomyślnie. Gdyby on bowiem raz na nią wyruszył, nie wiadomo, co by z niej pozostało.

Nie bierzemy też zbyt poważnie gróźb Francyi przeciwko Chinom. Zapewne, musi ona stanąć w obronie swych poddanych, muszą również inne państwa osłonić swoich, ale ostrożnie, bardzo ostrożnie, nie doprowadzając słonia do wściekłości. Jest on łagodny, cierpliwy, pozwala nawet małpom targać się za uszy, ale gdy raz wpadnie w szał, najmocniejsze łańcuchy go nie utrzymają.

Po za tą wszakże przestrogą w sprawie świeżych zdarzeń staje pytanie: co powaśnioną Europę zabezpiecza na wypadek spełnienia się wróżby najścia mongołów? Nic. Wygląda ona jak miasto, otoczone piaskowym wałem od strony morza — dziś martwego, które bodajby nigdy nie wzburzyło się.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

XI.

Unia socyalna. — Wzdychania do plebiscytu. — Syndykaty. — Projekty Constansa i Maujana. — Dekadentyzm, czy tyrania społeczna. — Zbrodnia pani Weiss.— Barbarzyństwo panujących poglądów na kobietę. — Kaci i ofiary.

Po krzykach i nawoływaniach do rozdziału, wśród monarchistów następuje opamiętanie. Jeżeli „Unia konserwatywna“ się utrzyma, ma być przechrzczona na „Unię socyalną.“ Któż przed taką firmą nie złoży oręża? Aby zwyciężyć skrupuły świętoszków i pogodzić obżarstwo z wiarą, nazywano niegdyś kurę szczupakiem. Pan Artur Meyer, projektodawca powyższej zmiany, przyznaje z cynizmem, iż chce potrącić tę właśnie stronę tłumów. Wszystko, co w Boga wierzy — nie mówimy już o niewierzących — zmazuje dawne firmy i wielkiemi literami wypisuje słówko: „social.“ Jest to zaraza, wiele znacząca we Francyi. Bonapartyści urządzili w miesiącu bieżącym wielkie zebranie, na którem w imieniu ks. Wiktora żądali reform społecznych, przyczem generał du Barrail oświadczył, iż oni stoją ponad partyami. „Wszystko, co kraj przepisze, zechce, wybierze“ — jest dla nich święte: oni są tylko posłusznymi sługami. Trudno zaiste o większą grzeczność. Ale szczere te westchnienia do plebiscytu przebrzmiewają bez echa.

Zaraza socyalna dotknęła nawet Izby, nawet p. Constansa. Izba poświęcać będzie stale, zaczynając od bieżącego miesiąca, jeden dzień w tygodniu (środę) sprawom robotniczym. Dotychczas nic ważnego nie uradzono: podniesiona została tylko kwestya kar, jakim mają podlegać patronowie, oddalający robotników, którzy należą do syndykatów. Ponieważ rząd zajął w tej kwestyi wahające się stanowisko, centr wpadł w oburzenie. „Je ne me sens pas assez gouverné“ — powiada burżua, nie czując nad sobą bata. Robotnicy oddaleni otrzymali prawo na odszkodowanie cywilne.

Z drugiej strony rząd przedstawił, w osobie p. Constansa, projekt ubezpieczenia robotników na starość. Czemu Constans, a nie Roche, którego, jako ministra handlu, sprawa ta bliżej dotyczy? Bo minister spraw wewnętrznych chciałby zatrzeć wspomnienie rzezi w Fourmies jakiemś dobrodziejstwem dla klasy robotniczej. Projekt oparto na następujących zasadach: robotnik płaci 5 lub 10 centimów dziennie — patron tyleż, państwo zaś dodaje $^2/_3$ otrzymanej w ten sposób sumy, co razem wziąwszy zapewniać będzie każdemu bez wyjątku robotnikowi — w przemyśle, rolnictwie, posługach domowych itd. — po 30 latach pracy 300 do 600 fr. renty rocznej. Zastanowimy się bliżej nad tym planem, gdy przyjdzie pod rozprawy. Dodajmy nareszcie iż dep. Maujan przedstawił projekt reformy podatków, która ma zamienić wszystkie pośrednie na jeden bezpośredni.

Burżuazya francuska znowu zgorszona została tragedyą miłosną, ale bynajmniej nie jest w stanie jej zrozumieć. W małej mieścinie algierskiej, Ain-Fezza, kobieta rozwinięta, ukształcona, o wybitnym talencie literackim starała się otruć swego męża, niejakiego Weissa, który stał na przeszkodzie połączenia się jej z kochankiem Roghes'em. Śmierć, którą sobie zadała, zostawszy skazana na dwadzieścia lat ciężkich robót, a zarazem pamiętniki, które po sobie zostawiła, uczyniły z niej istotną bohaterkę dnia. Prasa francuska uważa ją za zwichniętą, wykolejoną psychicznie dekadentkę, siostrę duchową Chambige'a, który przed rokiem popełnił tajemniczą „psychologiczną“ zbrodnię. Gdzie brak pojęć, tam słówko przybywa w porę. Słówkiem takiem jest w naszych czasach *newroza*, którą obdarzono, rozumie się, i Weissową. Zrzucają jej postępek na karb lektury psychologiczno-dekadenckiej, na karb newrozy, na karb wszystkiego, nie zwracają tylko uwagi na rzeczywistą przyczynę, która wprost w oczy bije. Jeżeli człowiek dla wydobycia się z więzienia zabija stróża, to popełnia niewątpliwie zbrodnię — ale czyż dążenie do wolności jest właściwe tylko psychopatom? Największa wina spada w danym razie na stosunki społeczne. Czyż można sobie wyobrazić bardziej „sale corvée,“ niż przymusowe pożycie mężczyzny z kobietą, gdy wszystkie łączące ich więzy uczucia-instynktu popękały, a zostają jedynie pęta interesu? Spójrzcie na znudzone twarze tych nieszczęśliwych „bourgeois endimanchés,“ którzy w nadziei, iż znajdą świeże jakieś wrażenie, po gruntownem wymyciu się i wyczyszczeniu, wyjeżdżają w niedzielę za miasto i siedzą tam z szanownemi połowicami, nie mając sobie nic do powiedzenia.

Ale jest to jeszcze wypadek najlepszy. Spójrzcie na te stadła, które tak się sobie uprzykrzyły i z nudów tak się nienawidzą, iż nie mogą słówka do siebie powiedzieć bez rozdrażnienia i zdaje się, że lada chwila chwycą za noże. Wzgląd na dzieci nie może nigdy pożycia takiego usprawiedliwić, gdyż mogą one na niem tylko stracić. Ale i ten wypadek nie jest jeszcze tak straszny. Bywają daleko okropniejsze, jak np. w rodzinie Weissów. Kobieta, niekochająca męża, lecz zmuszona przez prawo i t. zw. opinię publiczną do pożycia z nim, do przyjmowania jego pieszczot i udzielania mu codziennej, zwykłej ich porcyi, gdy marzy o innym — oh, la sale corvée! Historya Weissowej rzuca jaskrawe światło na okropne położenie kobiety. Pozbawiona od dzieciństwa rodziców, zaznała w młodości wszystkich utrapień, gwałtów i dolegliwości nędzy. Żyła z artykułów dziennikarskich, z tłomaczeń, wzięła się nawet do medycyny. Ocierała się o wszystkie sfery, ale żaden mężczyzna nie potrafił przemówić do jej serca, ani umysłu. Dopiero 18-letnią dziewczyną zeszła się przez dziwne i często spotykane złudzenie z jakimś marnym francuzikiem. „Nie kochałam go — pisze — lecz serce moje było spragnione czułości.“ Związek był krótki — iluzya szybko zniknęła. Na biedaczkę musiało to zrobić ogromne wrażenie, rozumie się pod naciskiem t. zw. opinii publicznej, która wymaga, aby kobieta pozostawała „wazą czystości...“ Niektóre owady wyrywają sobie szerść po włosku, pelikan rozdziera sobie łono instynktywnie — ale przynajmniej dla dzieci! Kobieta stara się uczynić z siebie naczynie czyste — dla mężczyzny, który składa w niem swe zwiędłe ciało, oprowadzone po wszystkich alkówkach i wszystkich domach publicznych. U niektórych amerykańskich plemion łania jest zwierzęciem świętem, które spożywać mogą tylko naczelnicy. Otóż, gdy jakiś myśliwy zabija łanię, nieraz włóczy się z nią po kilka tygodni, nie śmiąc ruszyć jej mięsa. Jeżeli wszakże, ustępując męczarniom głodu, zjadł ją, to powróciwszy do domu, zawsze jest niespokojny, ponury, dopóki swego grzechu nie wyzna i nie podda się ukamienowaniu. Naczelnicy ze swej żarłoczności zrobili moralność dla tłumu, który żyjąc instynktywnem

---

DWAJ FILOZOFOWIE

(BAJKA).

— Skoro lubisz słuchać bajek, to i tę ci opowiem.

Izos nikogo nie kochał, prócz swego ucznia Dinamosa. Kiedy był młodszy, kobiety trącały swymi urokami o jego serce, które jak dzwon odbrzmiewało ku nim czystym tonem uczucia, ale milkło wkrótce; nie poślubił żadnej, ażeby — jak mówił — nie zniechęcić się do wszystkich. Według niego życie ludzkie podobne jest do skrzyni, napełnionej szczelnie różnokształtnymi kamieniami, które tłuką się o siebie i kruszą podczas jazdy nierówną drogą; leżąc zaś zdaleka lub przedzielone, nie uderzałyby się i nie niszczyły wzajemnie. Śród ciał martwych trudno znaleźć dwa, któreby przystawały do siebie ściśle, a ludzie sądzą, że śród daleko liczniejszego i daleko bardziej w swych jednostkach różnorodnego społeczeństwa mogą dobrać tyle istot współmiernych, ile im się podoba. Więc Izos nie zawiązywał stosunków bardzo blizkich, chociaż szczerze miłował cały ród człowieczy. Jednego tylko Dinamosa wyuczył i ukochał. Tłomaczył się przed nim z tej słabości:

— Nie uprzędziesz takiej nici, którаby była bezwzględnie równa i nie miała najmniejszego zgrubienia; nie wydobędziesz takiego dźwięku, któryby od początku do końca przebrzmiał z jednaką siłą; nie wytworzysz takiej harmonii, którаby się nie chwiała w żadnym punkcie. Ty jesteś kwiatem mojego uczucia, ale kąkolem mojej filozofii.

A tę filozofię wraz z uprawą krzewu winnego szczepił starannie w duszy Dinamosa. Wziął go do siebie małym sierotą, może skazanym na śmierć przedwczesną, przypuszczając, że znajdek nie wpije mu się jak kleszcz w serce i nie naruszy jego równowagi uczuciowej. Chłopiec jednak źle mu się odwdzięczył za opiekę, bo zbudził w nim głębokie, niemal ojcowskie przywiązanie. Był nietylko dobry, miły, ładny, ale nadto w duszy bogaty. Daremnie wszakże Izos, który do lat 20 nigdy się z nim nie rozstawał, przelewając swoje myśli do jego głowy, usiłował, ażeby one w niej osiadły kryształami czystego, beznamiętnego rozumu: Dinamos roztapiał je w ogniu gorącego serca. Podczas gdy każde słowo starca było grudką lodu, każde słowo młodzieńca było węglem żaru. Pierwszy starał się wszystko zrozumieć i wytłomaczyć, drugi — kochał lub nienawidził.

Przy każdej sposobności, zarówno podczas pracy, jak długich przechadzek, Izos oziębiał i otrzeźwiał swego wychowanka, a chłopiec coraz bardziej się rozpalał i rozmarzał. Razu pewnego zbierali wspólnie grona w winnicy i, jak zwykle, rozprawiali łagodnym sporem o wzajemnych różnicach pojmowania świata.

— Gdyby miłość — mówił stary — była wdzięcznością, a nienawiść — zemstą, rozum by ich się nie wyparł. Ale jakże można okazywać wdzięczność albo zemstę temu, co istnieje bez zasługi lub winy? Że kobieta jest piękna lub brzydka, sędzia — sprawiedliwy lub przekupny, przyjaciel — wierny lub zdradziecki, to nie wynikło ani z ich złego, ani dobrego postanowienia. Takimi ich stworzyła i być kazała natura. Dlaczegóż nikt nie kocha winnych jagód za to, że są słodkie i pożywne, a nie potępia wilczych za to, że są szkodliwe i trujące?

— Kocha i potępia—odrzekł Dinamos— bo pierwsze hoduje i zbiera, a drugie niszczy i odrzuca. I ty ojcze to samo robisz, co wszyscy.

— Bo jeszcze jestem trochę głupi. Głowa moja podobna do nadtłuczonego garnka, w którym można coś ugotować, ale który cieknie. Zresztą wiesz co, mój chłopcze, przekonałem się, że samem dowodzeniem nie nauczę cię tego, czego bym nauczyć pragnął. Widocznie mam za mało rozumu, ażebym mógł nim obdzielić nas dwu, a ten krążek życia, w którym się obracamy, jest za ciasny, ażeby ci zdołał otworzyć szerszo widoki. Więc idź w świat daleki, a gdy rozejrzysz się po nim uważnie, wróć do mnie.

życiem bydlęcia, chętnie ofiaruje swój indywidualizm na ołtarzu pańskiego smakoszowstwa. Taką nieświadomą ofiarą męzkich chęci i pożądliwości, doprowadzonych do stopnia czegoś wyższego i uświęconego, jest kobieta i jej „czystość.“ Śmiać mi się chce, gdy Bourget (w *Crime d'amour*) lub Bellamy przedstawiają męczarnie moralne kobiety, która oddała się w dobrej wierze lub przez pomyłkę mężczyźnie nieponiowi, niezasługującemu na uczucie. Nie pomogą ani cuda elektryzacyi, przewidywane przez praktycznego yanke'a, ani nawet rozgrzeszenie, wspaniałomyślnie udzielone przez nowego pretendenta. Bohaterka Bellamego umiera instynktywną ofiarą męzkiej pożądliwości, która dla niej stała się czemś świętem. Moralność barana polega na tem, aby dobrze upieczonym zjawić się na stole pańskim; moralność kobiety — aby złożyła czyste, jak kwiat, ciało w ręce rozpustnika. Czyście się zastanowili kiedy nad jej męczarniami, gdy musi wyznać, jak tego wymaga t. zw. opinia publiczna, swój przeszły „grzech“ lub „winę“? A co za cynicznie-zmysłową rozkosz sprawia sobie *on*, wysłuchując takiego wyznania, nawet wówczas, gdy, jak Weiss, wspaniałomyślnie wybacza, *on*, ten zbrukany, często przegniły? Kobiecie rozumnej i samodzielnej, dla starcia nieprzyjemnego wypadku (nie „upadku“!), wystarczać będzie zwykła łaźnia parowa, która starłaby z niej wszystkie ślady dotknięcia brudasa i świadomości, iż w kwestyach serca lepiej jest być oszukanym, niż oszukującym. Złośliwa dałaby przy rozstaniu gachowi jeszcze podarek lub zapłatę... Przed nowym zaś pretendentem do żadnych wyznań nie jest zobowiązana. Ale biedna Weissowa nie doszła jeszcze do samodzielności. Truł ją jej „upadek,“ to też gdy inny francuzik, przyszły jej mąż, oświadczył się i poprosił o rękę, biedne dziecko — po stosownem wyznaniu — nie pytając już serca, a ulegając jedynie naciskowi barbarzyńskiej opinii, piętnującej imieniem zbrodniarza każdego barana, który upieczony przed wzrokiem pańskim nie stanie, przyrzekła Weissowi swe ciało i weszła z nim w stosunki małżeńskie. Może go nawet początkowo kochała, ale, niestety, instytucya ta wymaga rozporządzania naszą osobą na takie okresy, gdy nie wiemy, jakie psychologiczne zmiany w niej zajdą. W tem polega gruntowna niemoralność instytucyi, gdyż z czasem wprowadza ona nas w starcie między dawną obietnicą, a nowemi pożądaniami, starcie, z którego wyjścia nie ma — urzędowa moralność znajduje je dla kobiety w „pozostaniu wierną obowiązkom.“

Biedna kobieta cieszyła się, gdy Weiss poprosił ją o rękę. „Gdym się dowiedziała o jego chęci ożenienia się ze mną — pisze — spędziłam całą noc na kolanach, w wylewie wdzięczności.“ I oto spędziła pięć lat życia najokropniejszego pod słońcem, rodząc paskudnemu filistrowi dzieci, smażąc mu przysmaki, znosząc jego gderliwość i sceny — które burżuazya współczująca „oszukanemu mężowi“ zapisuje na karb chorego żołądka — i otrzymując wzamian ten napiwek, który świat nazywa szacunkiem i honorem „uczciwej kobiety.“ Naszem zdaniem był to okres jej życia, gdy najmniej na szacunek zasługiwała. W r. 1889 zjawił się w Ain Fezza inżynier Roques, zakochał się w niej i zyskał wzajemność. Biedaczka powinna była zrzucić ohydne kajdany, które od 5 lat nosiła, ale nie uczyniła tego i weszła na grzązką i błotnistą drogę cudzołóztwa, gdzie ją mąż wkrótce schwytał. Napróżno błagała go o rozwód — pan i władca nie zgadzał się — niewolnica, podług prawa, musiała uledz jego woli. Ten człowiek honoru — uważany powszechnie za ofiarę niecnej ladacznicy — wymagał tylko oddalenia się Roques'a. Prawo nie pozostawiło ofierze żadnego wyjścia z więzienia, z katowni! Wówczas kochankowie powzięli zamiar — szczęściem chybiony — usunięcia przeszkody, która dzieliła ich od siebie za pomocą trucizny. Reszta jest znana. Popełniła zbrodnię — ale przyznajmy, że w zbrodni tej znaczny udział przypada opinii publicznej, która dotychczas uważa kobietę za niewolnicę, stosunkom społecznym i prawom, które nie pozwalają jej rozejść się z mężczyzną, gdy pożycie z nim stało się jej wstrętnem, a uczucie ciągnie ją do kogo innego. A uczucie to było silne. W rozdzierających listach, które pisała z więzienia, mamy tego dowody. Tymczasem opinia publiczna całą winę zrzuca tylko na nią, a co najwyżej chce ją objaśnić newrozą. Gdy błazen, mianujący się mężem Weissowej, wyrzucał na sądzie szlochającej kobiecie jej zbrodnię i odmawiał przebaczenia, podły tłum przyjmował jego słowa tak szumnemi oklaskami, iż prezes musiał wymagać, aby się nie znęcano nad nieszczęśliwą. Niechaj spoczywa w ciszy i milczeniu śmierci...

Położenie kobiety we Francyi jest jeszcze nadzwyczaj upośledzone. Zachowano dla niej dotychczas rolę huryski, niańki lub kucharki, usprawiedliwiając to wciąż jeszcze frazesami o wrzekomej jej niższości. Na zasadzie kilkoletniej obserwacyi na kobietach uczących się wyniosłem trwałe przekonanie, iż pod względem umysłowym bynajmniej mężczyznom nie ustępują. Brak im tylko samodzielności charakteru, ale musimy pamiętać, iż nacisk, jakiemu podlegają, jest stokroć większy od tego, jaki mężczyźni znoszą. A samodzielność jest pojęciem względnem. Wprawdzie wielkich jednostek wydały nie dużo. Alеż i starożytność rzymska lub grecka, które widziały tyle milionów niewolników, nie mogą się poszczycić wielu genialnemi głowami z tej klasy — a nikt chyba nie będzie kwestyonował równości umysłowych uzdolnień panów i niewolników greckich. Idzie o to, iż genialność wymaga dla swego rozwoju pewnej atmosfery społecznej, pewnej swobody — dopóki kobieta jej nie zdobędzie, trudno wymagać, by pośród nich zjawiły się geniusze lub talenty w takim stosunku, jak śród mężczyzn. Pod względem moralnym jest ona i obecnie już daleko wyższą odeń, stosunkowo, rozumie się. On gra zwykle rolę tyrana i utrzymańca, ona — ofiary.

L. W.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jeżeli sygnały prasy nie są przedwczesne, w Wiedniu, w świątyni prawodawstwa austryackiego pobłogosławiony został przez hr. Taaffego związek małżeński między klubem galicyjskim a lewicą niemiecką. Swaty i zaloty trwały już od dawna, ale ponieważ uroczystych zaręczyn nie widzieliśmy, przeto nie sądziliśmy, że ślub jest tak blizki. Odbył on się przed ołtarzem budżetu. Jaką intercyzę spisano u rejenta, czy w zakrystyi — nie wiemy; musiała wszakże oblubienica wnieść znaczny posag oblubieńcowi, bo on do niej czuł zawsze wstręt nieprzezwyciężony.

Wiadomo, że po nowych wyborach do Rady państwa rząd znalazł się bez trwałej większości. Z licznych a wzajem do siebie nieprzystających stronnictw próbowano układać różnorodne mozajki parlamentarne, każda jednak rozsypywała się wkrótce.

Może wtedy dusze nasze wzajemnie w sobie przeglądać się będą.

— Zaciążyłem ci już ojcze, chcesz mnie się pozbyć — powiedz otwarcie.

— Nie zaglądaj mi za słowa, bo w nie szczerze całą myśl moją włożyłem. Oddawna już wyrzucam sobie, że cię trzymam i dmucham ja we flet dla wydobycia melodyi, której zagrać nie umiem. Zobaczę, jak cię świat nastroi. Przygotowałem ci dosyć pieniędzy na rok cały.

Dinamos wyjechał. Zwiedził Grecyę i jej kolonie azyatyckie, przypatrywał się ludziom, obcował z filozofami, wreszcie z obfitym plonem doświadczenia i wiedzy, ciągniony coraz silniej tą nicią, która jego serce z sercem Izosa związała — wrócił.

Stary powitał go radością i rozrzewnieniem. Przez kilka miesięcy Dinamos opowiadał mu szczegółowo swoją podróż. Gdy już przesnuł cały jej wątek, Izos zapytał go:

— Czy ciągle kochasz i nienawidzisz ludzi?

— O, tak — rzekł młodzieniec — a nawet teraz jeszcze bardziej, niż przedtem. Poznałem najrozmaitszych, miłości lub potępienia godnych. Za jednych oddałbym życie, dla drugich żałowałbym sznurka na stryczek.

Izos smutnie spuścił głowę, przygnębiony nietylko zawodem nadziei zmian w naturze wychowanka, lecz także wątpliwością co do własnej filozofii, do której pragnął go nawrócić. Czyżby ona była istotnie mylna? Czyżby w umysł tego chłopca lepsza mądrość odblaski swego światła rzucała? Nie. Skrzepłe i stężałe przekonania starca nie tak łatwo dały się skruszyć młodej sile. Po chwili milczenia zapytał:

— Któryż z filozofów wydał ci się bogom najbliższy?

— Plato — odrzekł z zapałem Dinamos. On nie domyśla się prawd, ale je objawia. Każde jego słowo jest gwiazdą w ciemność spadającą.

— Prości jednak wieśniacy lekceważą go, bo nie umie sprowadzać deszczu. Jak sądzisz, czy posąg Ateny byłby odpowiedni na kowadło?

— Cóż znowu! Pękłby pod pierwszem uderzeniem młota.

— I ja tak mniemam. Czy wielu po drodze znalazłeś przyjaciół?

— Kilku mogę śmiało nazwać tem mianem. Zwłaszcza Nikon z Efezu tak mnie rozczulił swoją szlachetną dobrocią, że nikomu z serca mojego nie ustąpi.

— Cóż ci takiego zrobił?

— Długo musiałbym mówić o jego zacnych usługach. Wspomnę tylko jedną. Kiedy zachorowałem, przerwał swoją praktykę i nie wyszedł z mojego mieszkania, dopóki mnie nie wyleczył.

— Więc innych chorych opuścił?

— Wszystkich.

— Nie dowiadywałeś się, co o nim powiedzieli?

— Może go nazwali nieponiem, ale co mnie to obchodzi! Dla mnie był dobroczyńcą.

— Zapewne. Czy żadna kobieta cię nie odurzyła?

— Fałszywy wstyd — rzekł zarumieniony Dinamos — kazał mi zataić przed tobą to wyznanie. Tak, pokochałem śliczną dziewicę z Miletu. Jest tak piękna, że gdy stanie nad morzem, jego zwierzchnie fale ciągle przybiegają do brzegu, ażeby odbić w sobie jej obraz i odnieść go głębszym. Jest tak dobra...

— Nie wątpię o tem — przerwał Izos — ale czy zbadałeś, że nie ma ani jednego człowieka, któryby o niej mówił przeciwnie?

— Ja ją widzę taką...

— A czy nie zastanowiłeś się nad tem, że może ty sam tylko taką ją widzisz, że innym przedstawia się ona gorzej, nawet bardzo źle...

— Nie przypuszczam, a zresztą moje uczucie mi wystarcza i nie potrzebuję go potwierdzać cudzemi.

— Słusznie. Gdyby wszakże ktoś uznał ją za brzydką i złą, czy nazwałbyś go niesprawiedliwym?

— Naturalnie.

— Więc kto nie ma twoich oczu, uszu, nerwów, wymagań, gustu... jest człowiekiem złym?

— Ach, ojcze, stawiasz mi sofistyczne potrzaski.

Wtedy ktoś rzucił myśl związku galicyjsko-niemieckiego. Zapewne Koło polskie nie było skłonniejsze dla tej myśli, niż Faust dla zamiaru uwiedzenia Małgorzaty; ale pokusy imają się często najtwardszych serc, jak nasiona — skał. Więc też i klub polski po długiem rozważaniu sprzecznych względów postanowił zaślubić lewicę. Podczas obrad nad budżetem, gdy młodoczesi wypowiedzieli rządowi wojnę, prezes Koła, p. Jaworski, w imieniu swojem i swoich towarzyszów, przysiągł na ewangelię mowy tronowej i wezwał żywioły „umiarkowane“ do wspólnej pracy. Mowa jego była białą rękawiczką, pod którą kryła się obrączka małżeńska z lewicą. Jakoż ta ostatnia wyciągnęła zaraz z pod welonu swoją dłoń, a hr. Taaffe, którego dłoń ta obrzucała dotychczas tylko kamieniami i błotem, wypowiedział uroczyste błogosławieństwo dla nowożeńców. Młodoczesi — jak twierdzi telegram — osłupieli, a organy rządowe zagrały *Veni Creator*. Tyle na dziś o tym wypadku — z uwagami wstrzymujemy się do szczegółowszych „wyjaśnień sytuacyi.“ Niech nam wszakże już dziś wolno będzie wróżyć, że ten związek z „lewej“ ręki wkrótce zacznie targać się w waśniach i doprowadzi do rozwodu. Tymczasem ma Austrya „nową erę.“

W Prizendzie (Stara Serbia) zabił się, czy też zabity został pełnomocnik austryacki, Piliński. Znaleziono go w mieszkaniu z przestrzeloną piersią; wobec wszakże wrzenia ludności miejscowej przeciw Austryi, rodzi się przypuszczenie, że zmarły nie zeszedł ze świata drogą samobójczą.

Cesarz austryacki odłożył swoją podróż do Pragi dla zwiedzenia wystawy. Zwłokę tę tłomaczą gazety powodami dworskimi, zdaje się jednak, że wywołał ją świeży atak młodo-czechów.

Gdy Wysoka Porta pod naciskiem posła niemieckiego musiała zapłacić okup za pasażerów uprowadzonych z rozbitego pociągu przez zbójców, doszła do przekonania, że swobodne grasowanie bandytów za drogo by ją kosztowało i postanowiła ich wyłowić. Oddziały wojsk tureckich tropią szajkę Atanasiosa, który nie tyle pod osłoną gór i lasów, ile pod skrzydłem ludności, czczącej w nim bohatera, oraz przekupionych przez niego urzędników, umyka szczęśliwie przed pogonią. Nie stawiamy wysokich wymagań cywilizacyjnych Turcyi, ale gospodarujący w niej bandytyzm, który zaćmiewa czyny Rinaldiniego, jest czemś zdumiewającem w naszych czasach. Dodać winniśmy, że na czele sądu, prowadzącego śledztwo, postawiono Mahmuda, rodem polaka, który pod nazwiskiem Ferdynanda Freunda przyjmował udział w wojnie węgierskiej; wraz z Bemem przyjął mahometanizm, a obecnie cieszy się szczególnem zaufaniem sułtana. Już raz oczyszczał on ze zbójów Macedonię.

W pruskiej Izbie panów, która, ulegając „nowemu kursowi,“ przyjęła zreformowaną na niekorzyść konserwatystów ustawę zarządu gminnego, toczą się rozprawy o zwrocie katolikom t. zw. funduszów obrocznych, czyli o wydaniu ostatniej broni z arsenału „walki kościelnej,“ tak sromotnie przegranej przez Bismarka. Niedługo, jak po Troi, „zniknie miejsce,“ gdzie stał ten arsenał.

Bismark, który z nudów przyjmuje bardzo czynny udział w redakcyi *Hamburg. Nachrichten* i w braku innych tematów rozbiera kwestye bieżące, nie radzi przesiedlać żydów do Konga, natomiast zaleca im Argentynę i Palestynę. W tejże sprawie przedstawiciel angielskiego związku izraelskiego wyjechał do Berlina, ażeby powstrzymać żydów od napływu do Anglii.

Turpin, wynalazca melinitu i zdrajca jego tajemnicy, skazany został w Paryżu na 5 lat więzienia.

BADANIA NAUKOWE.

„NOWY DUCH“ W KARYKATURZE.

Niejednokrotnie już poruszaliśmy w *Prawdzie* kwestyę tegoczesnych prądów mistycznych, które z taką siłą dają znać o sobie od pewnego czasu. Tą samą sprawą zajmuje się francuski psycholog Fr. Paulhan w świeżej pracy *Mistycyzm nowoczesny* *). „Jeżeli się nie mylę — mówi on — jesteśmy świadkami powstawania nowego ducha, tj. nowego sposobu pojmowania człowieka i świata, nowego i zwartego całokształtu idej, wierzeń i uczuć. Duch ten, daleki od ostatecznego swego sformułowania, różni się znacznie od swoich poprzedników i o ile wolno mniemać, niekiedy niesie z sobą wprost przeciwne dążności.“ Zresztą Paulhan znacznie, w porównaniu z nami, rozszerza pojęcie mistycyzmu. Jak zobaczymy, zalicza tu nawet prądy społeczne. „Nie należy szukać w ruchu socyalistycznym subtelności, elegancyi, wyrafinowania, w rodzaju tych, jakie dostrzegamy u symbolistów. Lecz natomiast można często spotkać powien mistycyzm. Dość powołać się na nazwę prawa *żelaznego* zarobków i na losy tego wyrazu, sprzężone z niejakiem uczuciem boskości, tajemniczości, ogromu!“ Przy bliższem wejrzeniu okazuje się, że książka autora francuskiego jest pracą względnie słabą. W łonie społeczeństw cywilizacyjnych istotnie drga i targa się duch nowy, a jego miotania uwidoczniają się w najrozmaitszy sposób. Paulhan nie umie jednak zdać sobie sprawy z tego, co widzi przed sobą. To niepojmowanie jest nader charakterystyczne, zresztą jest ono właściwością nie tylko tego pisarza, lecz całych odłamów myślącego ogółu, o ile uwiązł on w mieszczańskich ideałach.

Paulhan nazywa obecną chwilę okresem anarchii umysłowej. Dawne wierzenia utraciły swoje wzięcie, wraz z niemi zachwiały się podstawy moralne. Jedyną zasadą postępowania jest moralność pięści, która znalazła swoje uzasadnienie ostateczne w darwinowskiej walce o byt. Podobnie wszystkie umysły, które wyrobiły sobie uznanie w szerokich kołach, zawdzięczają to swoim pierwiastkom rozkładowym, przeczącym. „Nic chyba nie daje lepszego pojęcia o duchu społecznym, niż powody, dlaczego odrzucamy jedne, a przyjmujemy inne doktryny; lub niż sposoby zmieniania ich przez zwolenników i przeciwników oraz popularyzowania w formie nieścisłej i pospolitej.“ Paulhan właśnie zastanawia się nad tem, jak publiczność francuska zrozumiała trzech wybitniejszych myślicieli ostatniej chwili: Taine'a, Renana i Littrégo. Mianowicie zupełnie nie zwrócono uwagi na pozytywną stronę ich zapatrywań, uchwycono jedynie samo przeczenie. Anarchia umysłowa dzisiejsza odznacza się zwłaszcza dwoma rysami: z jednej strony rozprzężeniem wierzeń, z drugiej zamiłowaniem szczegółów i ścisłości, a wstrętem do syntezy nagromadzonych w nieładzie materyałów. Nauka, sztuka, wszystkie dziedziny życia umysłowego zdradzają taki stan rzeczy. Naturalizm i realizm dowodzą tego w powieści: pisarz usiłuje dać przedmiotową fotografię szczegółów życia i sta-

*) Za [illegible]

— Nie, mój drogi, ja cię nie chcę mamić, tylko szukam drogi, którą moglibyśmy iść razem.

— Przyznasz, ojcze, że są kobiety, powszechnie uważane za piękne i dobre lub brzydkie i złe. Do pierwszych należy Lota...

— Wierzę, gdybyś jednak tę Lotę dał niemowlęciu, pozbawionemu piersi matczynej, czy byłoby nią zachwycone?

— Alež ona jest dziewicą.

— Zatem dziecko ssące przeniosłoby nad nią najszpetniejszą mamkę?

— Któż temu przeczy?

— Ja — nic. Pisałeś mi z drogi, że cię niezmiernie oburzył wódz spartański, który knuł z persami zdradę przeciw ojczyźnie.

— Nikczemnik! Kruki zdychać będą, jedząc go po śmierci.

— A czy jesteś pewny, że on nie byłby sumiennym i troskliwym pasterzem kóz?

— Łotr pozostanie zawsze łotrem.

— W takim razie, nie naczerpawszy sitem wody, która przez nie przeleci, połamiesz je jako bezużyteczne nawet do przesiania mąki?

— To co innego. Są ludzie w każdej czynności podli.

— I ja widzę różnicę. Narzędzia stwarza człowiek i wyraźnie wskazuje ich użyteczność, więc wszystkie są przydatne; ludzi zaś stwarza natura i nie objaśnia, do czego są zdolni, więc niektórzy tylko, odgadnięci w swej użyteczności i niezbłąkani w swem przeznaczeniu, wydają nam się rozumni i uczciwi. Gdybyśmy wszyscy zdołali poznać swoje przyrodzone cele...

— To byśmy zbrodniarzów dusili w kolebkach.

— Ludzkość była ostrożniejsza od ciebie, bo nie wyniszczyła krzewów, których owoce wiele otruły i dociekła potem, że one także bywają lekiem.

Dinamos rozdrażniony i gniewny umilkł. Opanowawszy się rzekł:

— Kochany ojcze, do jakiej prawdy wiedziesz mnie po tych manowcach?

— Ani sam, ani ze mną nie dojdziesz do żadnej, dopóki będziesz miał myśl gniewem spętaną. Namiętność grzeje, ale nie świeci. Czy Plato ci o tem nie wspomniał?

— Owszem, ale on...

— On jest większy od nas wszystkich — wiem o tem; szewc jednak uszyje sandały zarówno przy kaganku, jak przy słońcu, a kropla rosy jest tak samo wodą, jak rzeka. Są więc prawdy, które ja, prosty ogrodnik, dostrzedz mogę, nie mając orlego wzroku Platona. Bądź jeszcze chwilkę cierpliwy — niedługo już drażnić cię przestanę. Odpowiedz mi tedy: gdybyś barbarzyńcom, nieznającym naszych narzędzi, zawiózł je i nie nauczył ich używać żadnego statku, czy domyśliliby się odrazu, do czego służy zgrzebło lub dłuto snycerskie?

— Nie.

— Czy mogłoby się zdarzyć, że dłuto oprawiliby w długi kij dla przebijania wrogów na wojnie?

— Tak.

— A zatem to narzędzie, którem my stwarzamy posągi, w rękach barbarzyńców służyłoby do mordowania ludzi?

— Zapewne.

— Otóż mnie się zdaje, że podobnie zachowują się ludzie względem siebie: kochają tych, których wartość dla siebie odgadli, a nienawidzą tych, których użyteczności nie znają, w obu zaś wypadkach, a co najmniej w drugim, postępują niesprawiedliwie.

Dinamos zamyślił się nad tą uwagą. Izos, wpatrzywszy się w niego czule, mówił dalej:

— Czy nie zgodziłbyś się na to, że każdy bez wyjątku człowiek jest skarbczykiem, w którym spoczywa zamknięte, większe lub mniejsze, dobro i że on potrzebuje znaleźć kogoś, kto go potrafi otworzyć i ten klejnot z niego wyjąć? Ludźmi wartościowymi przeto byliby ci, do których wielu klucz posiada, a niegodziwcami tacy, do których go nikt nie znalazł.

— Dobrze, mój ojcze — zawołał Dinamos, obejmując Izosa — więc nie będę nikogo nienawidził, ale nie żądaj, żebym nie kochał.

— Tego nie wymagam — rzekł wzruszony starzec—bo i ja muszę kochać ciebie.

W. Okoński.

rannie odsuwa od siebie chęć podjęcia jakiejś zasady ogólniejszej. W poezyi ukazuje się teorya o wyższości formy nad treścią oraz obojętność na wszystko, co nie jest obrazem lub rytmem. W malarstwie umiłowano piękność szczególików z uszczerbkiem dla całości. Wreszcie w nauce zawodowość posunięto do ostateczności, a wszelkie poloty filozoficzne uchodzą za czczą zabawkę. Podobna anarchia panuje w zakresie pedagogiki wraz z nieustającymi sporami, czy istnieją jakieś zasady, których bezwzględnie należałoby się trzymać. Drobiazgowość ta lub umiłowanie szczegółów wynika wprost stąd, że niewiadomo, czego się trzymać. Jeżeli weźmiemy naukę, ta bezzasadność uwidocznia się w najrozmaitszy sposób. Niekiedy ukrywa się ona pod maską bezstronności, która w gruncie rzeczy oznacza najzupełniejszą obojętność. Wiedzieć, lecz nie wyrokować — stało się hasłem. Zamiast dawnego dogmatyzmu w nauce zapanowała metoda historyczna. Następstem tego wszystkiego jest „nihilizm“ w różnych dziedzinach myśli. Pesymizm Schopenhauerów i Hartmannów jest poprostu nihilizmem kosmicznym: wszechświat pojmuje się jako sumę mechaniczną walczących z sobą części. Nihilizm polityczny neguje prawowitość i konieczność wszelkiej powagi społecznej; moralny zaprzecza temu, aby pomiędzy jednostkami w społeczeństwie istniały jakiekolwiek węzły. Jednak, jak już wiemy, autor spostrzega jutrzenkę innego jutra — w powstawaniu różnych prądów mistycznych, które zwolna złożą się na wytworzenie „nowego ducha.“ Między innemi dekadentyzm jest dlań zwiastunem nastającej zmiany, a jednocześnie świadectwem dojrzewającego rozkładu. Nie będziemy wraz z Paulhanem badali, dzięki czemu chory grzebie się myślowo w swojej chorobie i cieszy się jej istnieniem, tak bowiem w sposób obrazowy możemy przedstawić postępowanie dekadentystów względem występnych i brudnych żądz swojego „ja.“ Słusznie autor w tym prądzie widzi dowód rozprzężenia się dawnej moralności i nieposiadania nowej. Lecz w tem, że człowiek usiłuje zdobyć sobie jakąś nić przewodnią, idealizując i systematyzując chociażby złe, dostrzega on jednocześnie zadatek tego, iż budzi się silna chęć zerwania z dzisiejszą chwiejnością zasad.

Przejdźmy teraz do dodatnich objawów „nowego ducha,“ ochrzczonego przez Paulhana ogólną nazwą: nowoczesnego mistycyzmu. Autor przedewszystkiem zaznacza to przyjęcie, jakiego doznał hypnotyzm. Ta dziedzina zjawisk, świeżo nabyta przez naukę, stała się poniekąd przedmiotem mody. Lecz bynajmniej nie zamiłowanie nauki było przyczyną tego zainteresowania. Strony niepoznane, tajemnicze przyciągnęły zwolenników! Spirytyzmy naukowe Crookesów i nienaukowe pospolitego tłumu, budyzmy i mądrości teozoficzne, o których tyle się teraz mówi we Francyi, są zjawiskami tego samego rodzaju, co zwrócenie uwagi w kierunku badań hypnotycznych, a wszystkie te prądy świadczą o szukaniu przez ducha ludzkiego dróg nowych. To samo daje się dostrzedz w dziedzinie filozofii. Dość przypomnieć, jak próba Augusta Comte'a zbudowania całokształtu filozoficznego wiedzy uwięzła w religii pozytywnej. Równie powodzenie Spencera w znacznym stopniu pochodzi stąd, że myśliciel ten odsłania przed czytelnikiem niepoznawalne w całej jego okazałości. Wreszcie Paulhan przytacza neo-krytycyzm Renouviera z jego apoteozą wolnej woli i idei, podobne dążności Fouillégo i in. Nie sądzi jednak, aby agnostycyzmy i neo-krytycyzmy, tembardziej zaś religie pozytywne znalazły wielu wyznawców: są one za zbyt jasne, za mało tajemnicze. Za najodpowiedniejszą dziedzinę dla zbadania rodzących się prądów Paulhan uważa powieść i wogóle sztukę; zanim bowiem ukaże się wykończona i wypracowana teorya, oddawna jest już wypowiadana urywkowi w krytyce, publicystyce, utworach dramatycznych lub powieściowych. Jako charakterystyczny objaw nowego ducha we Francyi, przytacza on zachwyt, wywołany tam przez utwory pisarzów ruskich: Tołstoja i Dostojewskiego. Przeciwstawiono je naturalizmowi francuskiemu rodzimemu skutkiem pewnego mistycyzmu, tez ogólno-ludzkich i stanowiska podmiotowego. Równie i symbolizm w oczach naszego autora staje się zwiastunem „nowego ducha.“ Owo zamiłowanie symbolów i przejęcie się wyrazami, zupełnie przypominają tajemniczość, jaką alchemicy przypisywali pewnym zaklęciom, liczbom itd. Wreszcie i w zakresie dążeń społecznych, w wysuwaniu na plan pierwszy solidarności pomiędzy ludźmi i w wynoszeniu współdziałania i zrzeszenia, autor widzi dalszy objaw tego samego ducha. Socyalizm wyrasta w jego przedstawieniu na równoważnik ekonomiczny nowoczesnego mistycyzmu, a próbkę rozumowań Paulhana przytoczyliśmy już powyżej w ustępie, gdzie mówi on o prawie żelaznem zarobków. Między innemi bierze on zdanie Malona, że nastały czasy zastąpienia atawizmu religijnego szerokim i rozległym ideałem humanitarnym, nowem pojmowaniem życia a obowiązków, które uczyniłoby serca ludzkie i myśli dostępnemi dla nowej sprawiedliwości i gotowemi do wszelkich ofiar i poświęceń, i zdanie to przedstawia jako poparcie swoich dowodzeń. Słowem, duch religijno-naukowy, przebudzenie się katolicyzmu w połączeniu z symbolizmem i dekadentyzmem, interesowanie się cierpieniami innych, poczucie sprawiedliwości, socyalizm i mistycyzm społeczny, pociąg do faktów tajemniczych, tendencyjność w utworach sztuki, dążność do syntezy, a przynajmniej przeczenie drobiazgowej analizy — wszystko to są pierwiastki nowego niby ducha, z których on powstaje w retorcie rozwojowej... „Potrzeba wiedzy i potrzeba ideału — takie są według naszego zdania zasadnicze dążności, właściwe najrozmaitszym objawom nowego ducha. Rodzaj mistycyzmu naukowego przygotowywa się i wyłania z połączenia wiary i nauki; potrzeba powszechnej harmonii, posunięta aż do przyodziania się w tajemniczą powłokę, zdaje się winna być uznana jako znamienna cecha nowego ducha...“ Będzie on rodzajem syntezy, w której zleje się wiedza spekulacyjna i czynna wiara, konieczność zgłębienia rzeczy z potrzebą miłości, szacunku i bojaźni, wreszcie z niezbędnością tego, że całe obszary wszechświata są nieznane.“ Zresztą autor zastrzega się, że ów wygląd, jaki on nadał „nowemu duchowi,“ jest przeważnie wytworem jego pisarskiej myśli, że w rzeczywistości chodzi ów duch rozdrobiony: jedni np. są wyznawcami mistycyzmu naukowego—lecz nie nadto, inni—mistykami wyłącznie sprawiedliwości społecznej, jeszcze inni — symbolicznej gry wyrazów w poezyi. W końcu Paulhan dłużej zatrzymuje się nad możliwą przyszłością, która zresztą występuje u niego tak nieuchwytną i tak zamgloną, że z pośród niej niepodobna nic wyłowić prócz ogólników, że jeśli nastaną inne czasy, będą to czasy syntezy-harmonii...

(D. n.).
Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

KIM BYŁ REMBRANDT?

Pod tym tytułem pojawiła się w Niemczech książka *), która obudziła powszechną uwagę. Rembrandt, o którego „świetle“ zawsze wiele mówiono, ale którego dzieła znane są tylko ludziom bliżej zajmującym się sztuką, od roku jest najpopularniejszym w Niemczech artystą wieków minionych. Zwrot ten spowodowała (znana czytelnikom *Prawdy*) książka bezimiennego autora: „Rembrandt jako wychowawca,“ która rozwijając program kulturalny dla Niemców, wskazywała na owego mistrza jako na pierwowzór cnót i zalet germańskich. Autor, niebędący fachowym historykiem sztuki, w pojmowaniu Rembrandta szedł za większością dzisiejszych znawców, którzy swój sąd o nim opierają raczej na oglądaniu wspaniałych, głęboko pomyślanych jego obrazów, niż czerpią ze źródeł historycznych. Dawniejsi dziejopisarze sztuki występowali wobec mistrza holenderskiego z szeregiem zarzutów, odnoszących się do jego charakteru, jego życia. Publiczność przywykła owe żale pojmować jako zwykłe potwarze współczesnych.

Najnowsze badania archiwalne usuwają wszelkie wątpliwości co do moralnej strony Rembrandta. Ideał, wzniesiony przez natchnionego autora książki *Rembrandt als Erzieher*, rozbija niemiłosiernie suchy badacz w dziele „Wer ist Rembrandt?“ Lecz co ważniejsza, odbiera on mu nietylko dobrą reputacyę, ale i sławę artystyczną, dowodzi bowiem, że to nie on stworzył obrazy, znane dziś pod jego imieniem.

Gdyby dzieło Lautnera nie było napisane z użyciem całego aparatu naukowego, jakim wiedza dzisiejsza rozporządza, puszczonoby je mimo, jako bombę literacką. Lecz u Lautnera każde słowo opiera się na sumiennych badaniach, mimo więc iż wnioski jego mogą być mylne, zapoznać się należy z samym materyałem.

Dla nas, co prawda, praca ta jest tylko pouczającym objawem nowoczesnej, patologicznej żądzy „robienia książek“ i wywoływania wrażeń choćby największym wysiłkiem. W galeryi drezdeńskiej ujrzał Lautner „Sen Jakóba,“ piękny obraz Ferdynanda Bola, ucznia Rembrandta, namalowany zupełnie w stylu mistrza. Uważał on za rzecz niemożebną, aby taki utwór miał pochodzić od artysty mało znanego. „Sen Jakóba“ to obraz Rembrandta, lub raczej: wszystkie obrazy Rembrandta — to dzieła Bola!!

Z dziwacznym tym pomysłem w głowie Lautner rzucił się do przestudyowania całego materyału, zebranego o Rembrancie i o Bolu. Nie myśląc wcale o nabyciu innego przekonania, we wszystkiem, co znalazł, upatrywał dowody swego podejrzenia. Traf zdarzył, że równomiernie niemal dwaj archeologowie holendersey, de Roever i Bredius, wydobyli z archiwów amsterdamskich wszystkie akta, odnoszące się do życia Rembrandta i dowiedli, że ten istotnie popełnił w życiu swem czyny wcale niezaszczytne. Lautner zapewnia, że tylko człowiek o czystym jak kryształ charakterze dokonać może dzieł tak znakomitych. Zapomina on, że obok tych najrzadszych w dziejach sztuki typów, istniało mnóstwo artystów, którzy przedstawili utwory wzniosłe, pełne czystości i piękna moralnego, a którzy przytem sami dopuszczali się wielu wykroczeń. W dwóch zwłaszcza względach grzeszyć zwykli artyści, odkąd sztuka istnieje, i grzeszyć pono będą, póki ród ich nie wyginie: nie umieją stwarzać sobie normalnych, regularnych stosunków z kobietami i gospodarować. Oskarżyciele Rembrandta nie zauważyli, że wszystko, co z archiwów przeciw niemu wydobyto, okazuje jego słabość tylko w tych obu kierunkach. Rembrandt, ożeniwszy się z niejaką Saskją, użył całego posagu jej do nabycia pysznych zbiorów starożytności i rzadkości, któremi ozdobił swą pracownię. Podobnie gospodarował przez całe życie. Otoczony zawsze rojem kupców i pośredników, którzy korzystali z jego namiętności, rozrzucał olbrzymie sumy na zakup fatałaszków starożytnych, a innych swych zobowiązań nie dopełniał. Kupił dom na raty, a ostatniej

*) Wrocław. I. U. Kern. 1891.

nigdy nie zapłacił. Pożyczał pieniądze u przyjaciół i znajomych, a weksli nie wykupywał. Kiedy wreszcie wierzyciele jego ogłosili mu upadłość, Rembrandt, zwyczajem nienowym i niepięknym, co prawda, przepisał prawo własności na swego syna, którego w zamian zobowiązał do alimentów. I taki człowiek, woła Lautner, ma być autorem obrazów Rembrandtowskich? To niepodobna! Gdyby autor był się rozejrzał w czasach Odrodzenia, byłby znalazł niejednego artystę włoskiego i niemieckiego, który fałszował weksle, uciekał przed długami i haniebniejsze jeszcze popełniał sprawki, a przytem tworzył Madonny pełne słodyczy niebiańskiej, świętych o najsurowszej piękności moralnej. Podobnie wytaczania Rembrandtowi procesu z tytułu, że po śmierci żony nie ożenił się powtórnie, lecz żył w „dzikiem małżeństwie“ z kobietą nizkiego pochodzenia, nie możemy brać na seryo.

Lecz, zapytuje Lautner, skoro Rembrandt istotnie namalował owe obrazy, czemuż zginął w nędzy? Wszak nimi byłby sobie zdobył olbrzymi majątek? I na to odpowiedź prosta: wydawał pieniądze tak, jak je zarabiał. Zbiory jego pochłaniały wszystko. Żyjąc w nędzy, ze zbiorami tymi nie rozłączył się; a po śmierci jego przekonano się, że posiadał, prócz innych nader kosztownych przedmiotów, całą galeryę obrazów pierwszorzędnych mistrzów włoskich.

Wreszcie zestawia Lautner wszystkie płótna, które rzekomo pochodzić mają od Rembrandta, i dowodzi, że jest rzeczą wprost niemożebną, iżby połowę ich mógł namalować. Zgoda. Wiadomo, że z pracowni wszystkich znanych malarzów wychodzi mnóstwo prac uczniów pod firmą mistrzów, wiadomo też, że handlarze fałszują płótna i że z biegiem wieków powstają nowe Murille, Rafaele itd. Lecz główne dzieła mistrzów tak wyraźne noszą piętna, że o pochodzeniu ich wątpić nie można.

Lecz według Lautnera, co do Rembrandta, handlarze dokonywali wielkiego, systematycznego fałszerstwa. Wcześnie doszedł on do sławy, a pyszne zbiory przyczyniły się mało do jego rozgłosu. Zdemoralizowany i złamany, niebawem — według Lautnera — tworzyć przestał. Lecz podczas gdy w Amsterdamie już nim pogardzano, za granicą sława jego rosła bezustannie, ze sławy tej korzystali handlarze, chrzcząc obrazy innych malarzów imieniem Rembrandta. Takim to, systematycznie w sławie swej okradanym artystą miał być Ferdynand Bol, uczeń Rembrandta.

Nasuwa się więc drugie pytanie: kim był Ferdynand Bol? Był to bardzo porządny, szanowany powszechnie człowiek. Pochodził z zamożnej rodziny, ożenił się bogato, prowadził się wzorowo, żył w przyjaźni z radcami amsterdamskimi; z czasem doszedł do znacznych bogactw i do wpływu niezwykłego. Takim, i tylko takim człowiekiem musiał być właściwy autor obrazów Rembrandta. Jest to wniosek wprost zabawny. Człowiek tak zamożny i wpływowy nie miał chyba powodu do znoszenia najsroższej krzywdy, jaka wyrządzona być może artyście. Potrafiłby był wytropić fałszerzy i dojść do rozgłosu zasłużonego.

Lecz Lautner występuje z dowodem, który zbić musi wszelkie argumenty — gdyby z prawdą był w zgodzie. Zbadał on wszystkie słynniejsze obrazy Rembrandta i znalazł pod lazurą ich w rogach litery zmyte i zniszczone, w których wyczytał miejały Bola! Zdjął dokładne z rogów tych fotografie, i wpatrując się w nie, obróciwszy do światła, wykrył litery „B“ lub „Bl“. Fotografie te załączył do dzieła swego, stawiając obok każdej reprodukcyę retuszowaną. Na zdjęciach oryginalnych nie widać nic zgoła, prócz jakichś kresek i plam. Zato retuszer wydobył z chaosu tego najwyraźniejsze litery „B“, „Bl“ a nawet „Bol“. Jeżeli zaś, sposobem podanym przez niego, obrócimy fotografie oryginalne do światła, widzimy na nich istotnie litery niewyraźne: lecz tam, gdzie Lautner pisze „B“, dostrzegamy „R“, tam gdzie on retuszuje „Bl“, czytamy „Rt“ lub „Rb“.

Odebrano więc przyjaciołom Rembrandta wiarę w niego jako w człowieka, lecz nie pozbawiono ich wiary w Rembrandta artystę. *).

L.

PAMIĘTNIK LENAUA.

Ludwik August Frankl należy do owych autorów, których imienia znawcy piśmiennictwa niemieckiego bez uśmiechu przeczytać nie mogą. Staruszek ten, który za młodu wsławił się poezyami dość średniej miary, już od kilkudziesięciu lat pojawia się na arenie literackiej wyłącznie jako grabarz znakomitości. Nawiązał stosunki bliższe z licznemi osobistościami, które zasłynęły w polityce, sztuce lub nauce. Korespondencye tych osób przechowywał starannie, a obdarzony zdrowiem niepospolitem, przeżył wszystkich znajomych i przypomina się światu, ogłaszając te listy po ich śmierci. Zwłaszcza ks. Karol Auersperg, znany jako poeta pod pseudonimem Anastazyusza Grüna, był dla Frankla formalną kopalnią literacką, po śmierci jeszcze oddając mu usługi przyjacielskie. Podobnie wyzyskał Frankl stosunek swój do malarza Amerlinga w niezliczonych fejletonach, które wydał następnie w formie książkowej. Dziś, przeszło osiemdziesięcioletni starzec, występuje jako wykonawca testamentu literackiego jednego z najcelniejszych poetów austro-niemieckich, Mikołaja Lenaua **).

Tragiczny los Lenaua jest znany powszechnie. W sile wieku, zajęty większymi planami poetyckimi, zaręczony z kobietą, którą ukochał serdecznie, uległ pomieszaniu zmysłów i zmarł po pięcioletnich cierpieniach, nie wróciwszy już do zdrowia. Bezpośrednią przyczyną wybuchu choroby umysłowej, której zadatki od dawna tkwiły w organizacyi poety, były bolesne przejścia z kobietą, którą ubóstwiał przez długie lata, zanim poznał swą narzeczoną, Behrendtównę. Była nią Zofia Kleyle, żona wyższego urzędnika austryackiego, która poznawszy Lenaua już jako matka trojga dzieci, pokochała go namiętnie i wzajem miłość jego pozyskała. Stosunek ich, znany mężowi, był czysty. Kiedy wreszcie Lenau, widząc beznadziejność tego stosunku, a może nim znękany, zaręczył się z inną, Zofia w listach namiętne czyniła wyrzuty, żądała zerwania z Behrendtówną i oświadczyła: jedno z nas musi oszaleć. Słowa te spełniły się na nieszczęśliwym poecie. Zofia zmarła dopiero przed dwoma laty, w maju 1889 r. i pozostawiła Franklowi, który nie nadaremnie był jej przyjacielem przez długie lata, najdroższy skarb swój: pamiętnik Lenaua, napisany dla niej w okresie pełnej miłości. Były to luźne kartki, na których poeta zapisywał swe myśli, kiedy pożegnawszy wieczorem ukochaną, dumał samotny w mieszkaniu. Zapiski te są przeważnie wynurzeniami miłosnemi filozofa i poety, który każde wrażenie i uczucie osobiste uogólnia, a każdą myśl oderwaną przystraja w szatę obrazu barwnego; lecz nietylko o uczuciach swych dla Zofii pisywał Lenau, dzielił się z nią myślami głębszemi o życiu, które błyskawicznie nieraz przez mózg jego przechodziły. Wręczając jej ten pamiętnik, dołączył słowa następujące: „Kiedy po mojej śmierci stronice te przeczytasz, zaboli cię serce. Z wszystkiego, com napisał, to mi najdroższe. Z serca mego wyskakiwały te słowa na papier tak bez rozwagi, jak ptaki wylatują z gniazda. Kto mnie chce poznać, kartki te przeczytać musi.“ Ostatnie te słowa zawierały wyraźną wskazówkę, że Lenau publikacyi pamiętnika nietylko nie zabraniał, lecz owszem życzył jej sobie. Jednak zazdrosna Zofia, póki żyła, skarbu swego wydać nie chciała. Umierając, przeznaczyła pamiętnik do druku, dodając od siebie słów parę: „Oby wielka ta miłość i wielkie te cierpienia zostały zrozumiane przez współczujących, oby żadna noga nieględnie nie stanęła na mogile przedwcześnie wzniesionej, oby żadna ręka na poetę zmarłego nie cisnęła czemś innem, niż kwiatem.“ Nie bez wzruszenia czytamy te słowa, niezręczne może, ale pochodzące od osiemdziesięcioletniej kobiety, która przeszło lat pięćdziesiąt dochowała zmarłemu poecie wiernej pamięci. Głębiej jeszcze wzruszają czytelnika zapiski samego Lenaua, w których wyrazy uduchowionej miłości mieszają się z przeczuciami złowrogiemi, poprzedzającemi pomrokę umysłową. Oto niektóre ustępy:

„Ludzie uwierzą łatwiej w duchy, aniżeli w węzły czysto umysłowe, łączące dwoje osób płci różnej. U ludzi zwykłych płeć wszędzie jest wmieszana, jej przypada pierwsze i ostatnie słowo. Płeć dopiero czyni ich dojrzałymi, a skoro w nich niknie, wówczas serce ich nie już światu nie ma do powiedzenia. Trywialny jakiś fizyolog dowodzi, że miłość jest tylko funkcyą przyrody, że wszystkie rozkosze miłości są złudzeniem, kuglarskiemi sztuczkami natury: osobnik wyobraża sobie, że rozkosze te przypadają mu w udziale, a tymczasem to przyroda zmusza go w ten sposób, aby służył gatunkowi. A jednak tak nie jest. Jednostka nie istnieje dla gatunku, jeno gatunek dla jednostki. Najwyższa tajemnica miłości jest zarazem tajemnicą indywidualizmu. Prawdziwa miłość poucza nas o najgłębszem znaczeniu indywidualności, o wyłączności jej i niemożności zastąpienia niczem innem. Gdyby ów fizyolog miał racyę, wówczas jeleń, ryczący w lesie, powinienby być dla nas milszy, aniżeli Petrarka i jego sonety. Jeleń nie jest przynajmniej ani obłudnikiem, ani głupcem.

Dziś nadaremnie oczekiwałem słowika, którego zazwyczaj z okna mego słyszę. Po północy zwykł odzywać się: wlewał on swoją pieśń w moją ranę i budził całą tęsknotę za tobą. Dziś milczy; studnia szumi, a woda płynie i bez jego pieśni, jak życie po śmierci poety.

Popiół z mego cygara przedłuża się, ile razy zeń pociągnę, a popiół życia mego za każdym oddechem. Cygaro, zwolna popielejące, to smutna rzecz. Popiół nie spada, lecz pozostaje, przyjmując kształt cygara. I w nas niejedno jest takim popiołem.

Jest to moją wadą, że nie umiem rozdzielać sfery poezyi od sfery życia rzeczywistego, że je z sobą mieszam. Przywykłem w poezyi iść za polotem wyobraźni, czynię to i w życiu; a w chwilach, w których o sobie zapominam, powstaje we mnie ta potęga nazbyt silna i burzy swe własne najpiękniejsze twory. Zły ze mnie gospodarz, a i w ekonomii moich sił umysłowych zbyt mało rachuję. Jestem melancholikiem. Kompas życia mojego zawsze zwrócony jest ku boleści. A może wiara i wszelka miłość posłużyć mi jeno mogą do uszlachetnienia tej boleści.

Jestem wzburzony. Życie moje jest mi dziwnie podejrzane; jest ono podstępne, jest zdradliwe.

(Po łacinie). Chciałbym być uwięziony z tobą, najsłodsza, i chciałbym, żeby tyle tylko światła wnikało do celi, abym mógł widzieć twe oczy, a w nich odbicie całego świata i wszystkich jego rozkoszy.

---

*) Jest to drugi objaw tej samej choroby „krytycznej,“ która niedawno odebrała autorstwo tragedyj i dramatów — Shakespearowi. *Red.*

**) „Lenau und Sophie,“ Tagebuch und Briefe Lenau's. Stutgart, J. G. Cotta. 1891.

Róża, którą mi dałaś na pożegnanie, leży obok mnie i wonieje tak słodko, jak gdyby dzień dzisiejszy wyzionąć chciał swą duszę w tym kwiecie. O Zofio! obcując z tobą, znalazłem lepszą rękojmię życia wiekuistego, aniżeli we wszelkich badaniach i w obserwacyi świata. Jeżeli w jakiejś szczęśliwej godzinie mniemałem, żem osiągnął to, co jest najwyższem w miłości i że czas umierać, gdyż nigdy piękniejszej chwili przeżyć nie można, zawsze się łudziłem, bo zawsze piękniejsza jeszcze następowała godzina. Te przepaści życia, coraz nowe, coraz głębsze, ucieleśniają mi wiekuistość jego. W oku twom widzę materyę, z jaką utkana być musi miłość wiekuista, niby w hieroglifie proroczym.

W samotności mej brak mi tylko ciebie jednej. Ciebie tylko zastąpić mi nie może ani piękna przyroda, ani duchy wielkie, jak Platon, którego pilnie czytuję, ani nawet najpiękniejsza chwila twórczości. Bo tyś cudownem połączeniem tego wszystkiego, co prawdziwe i piękne. Miłość świat stworzyła, przez miłość tylko pojąć go możemy."

N.

LITERATURA POLSKA.

Teodor Jeske-Choiński. *Na straconym posterunku.* Dramat współczesny w 5-u aktach. Warszawa. 1891. str. 167.

Od lat kilku — warto podziwiać moją wytrwałość — pytałem siebie oraz innych, jakie właściwie poglądy estetyczne posiada p. Teodor Jeske-Choiński, który parę razy na miesiąc niby olbrzym gruchocze rzekomych pigmejów literackich, niby tygrys rozdziera nieszczęśliwych autorów i roztrząsa im sumienie nie jako ojciec dobrotliwy, jeno jako władca gniewny, batogami, mieczem katowskim, oraz palem zaostrzonym rozporządzający.

Daremnie jednak pytałem; odpowiedź się nie zjawiała.

Czasem tylko ten lub ów z uśmiechem złośliwym zagadywał mię znienacka: „Jak od ślepca nie możesz żądać zrozumienia gry barw, od głuchego sądu o operach, choćby nawet wagnerowskich, tak samo u p. Jeske Choińskiego nie szukaj jakichkolwiek zasad estetycznych. Garść komunałów, i to zwietrzałych, wytartych, wycofanych z obiegu, garść frazesów, powtarzanych aż do znudzenia, i mnogie, dosłowne wyjątki z danego pisarza, niby dla dokładniejszego oświetlenia jego twórczości — oto tak zwane krytyki literackie p. Teodora Jeske-Choińskiego, krytyki, które o jednej i tej samej książce monotonnie, bo z odmianą nieznaczną, pojawiają się zazwyczaj aż w czterech pismach polskich."

Nie odstraszyły mnie przecież podobne upomnienia; szukałem więc, szukałem wytrwale, aż nakoniec doszedłem do wytkniętego celu. W jaki sposób? W bardzo prosty. Ów krytyk równocześnie pisze powieści i dramaty; rozumowałem tedy: jako sędzia musi stosować się do tego samego kodeksu estetycznego, który go obowiązuje w działalności twórczej. O dwoistości nie może być mowy; stanowiłoby to bądź dowód niedołęstwa, bądź czegoś znacznie gorszego.

W stosowną właśnie porę wyszedł na świat dramat tego Dantona krytyki warszawskiej, dramat p. t. *Na straconym posterunku.* Jakież ów utwór wywiera wrażenie ogólne? Niech na to odpowie wspomnienie obrazu, widzianego przeze mnie niedawno. Przedstawiał on anioła, przykrywającego suto opierzonemi skrzydłami rzeszę ludzi w fantastycznych ubiorach, w kapeluszach z wielkiemi rondami, o włosach długich i brodach z hiszpańska przystrzyżonych. Każdy z nich trzymał pióro w ręku i na pół rozwinięty zwój papieru. Podpis objaśniał naiwny nieco zamiar malarza, chcącego ucieleśnić ducha poezyi, czuwającego nad rzeszą pisarską. Przypatrując się uważniej, dostrzegłem, iż jedni z literatów posiadali wzrok mętny, niepewny, gdzieś w nieokreślonym kierunku biegnący, drudzy przeciwnie patrzyli śmiało, przed siebie, jak gdyby dokładnie mierzyli otoczenie, zastanawiali się nad jego powierzchownością i pragnęli docieć jego treści, oraz przyczyn jego powstania.

Świadomie, czy bezwiednie malarz tą różnicą uwidocznił rozdział, panujący wśród talentów twórczych. Ci o spojrzeniu mętnem — to poeci, powieściopisarze, dramaturdzy, którzy wyobraźnię stawiali ponad wszystkie względy, nawet — zbyt często niestety — ponad logikę. Drudzy pragną odtwarzać rzeczywistość z tem przeświadczeniem, iż jak w nauce, tak i w poezyi intuicya, natchnienie nie zastąpi ani doświadczeń moralnych, ani spostrzegawczości. Według nich belletrystyka, osnuwająca utwór na tle czy to życia warstw społecznych, znanych sobie tylko ze słyszenia, czy to namiętności, nigdy niezglądanych, równa się psychologowi, który chciałby pisać rozprawę o strachu bez danych fizyologicznych.

Ci drudzy tedy prócz wyobraźni wkładają w swe dzieła bardzo dużo nauki; pierwsi — jest ich teraz coraz już garść szczuplejsza — bądź wskutek dziedzicznych popędów, bądź skutkiem zarozumiałości niesłychanej, bądź z przyczyny lenistwa, tajonego nawet wobec siebie samych, uważają się za umysły genialne, które okiem wieszczem natychmiast przenikają czaszki ludzkie, rozumieją każde uderzenie serca i podchwytują przelotne choćby wzruszenie jednostki czy tłumu.

Na straconym posterunku obrobieniem treści, pogonią za jaskrawymi efektami, rysunkiem postaci, tudzież językiem, jakim to ostatnie się odzywają — należy do tej pierwszej szkoły, dawnej, starej, śmiesznie starej szkoły. A sama treść? Nie jest zła, lecz blaskiem nowości bynajmniej nie błyszczy. Na wydobywanie się ze społeczeństwa żydowskiego jednostek, krytycyzmem wyposażonych, wstrząsających podwalinami tradycyi i głoszących potrzebę reform — w naszem piśmiennictwie wskazała Eliza Orzeszkowa, w niemieckiem wskazał Gutzków, chociaż jego *Uriel Acosta* dalej sięga, aniżeli do żydów samych, bo tworzy protest gorący przeciw wszelkiej wogóle niewoli ducha, zwłaszcza zaś przeciw uciskowi, jakiego doznawały za jego czasów „Młode Niemcy." Sztuka Gutzkowa p. Jeske-Choińskiemu, autorowi *Dramatu niemieckiego XIX wieku,* służyła — rzecz to widoczna — za podnietę do opisania losów Proszowskiego, a służyła do tego stopnia, że jak ów żyd portugalski przed trybunałem rabinów staje, tak i ów żyd z małego miasteczka naszego, żyd, który „wychował się w Paryżu (gdzie on u licha miał sposobność zapoznawać się wówczas z nędzą moralną swoich współwyznawców w kraju) widział Europę, Amerykę i Afrykę (no, tam cywilizacya nie w najlepszym gatunku), służył w Algierze, w legii cudzoziemców bił się, strzelał do ludzi prawdziwemi kulami," zjawia się przed sądem kahalnym. Również i szkielet wewnętrzny owej sceny sądowej i nastrój duchowy obu Uryelów w stopniowym jej rozwoju jest zupełnie podobny; rzecz jasna przecież, iż między bohaterem Gutzkowa, a manekinem p. Choińskiego zachodzi taki sam stosunek, jaki istnieje między istotnie dramatycznem napięciem sceny w świątyni amsterdamskiej i burdą karczemną w prowincyonalnej izbie żydowskiej, burdą, uklecona wedle przestarzałego szematu naszych pisemek humorystycznych.

Mimo służbę ciężką w legii cudzoziemskiej dziwnie słabym wydaje się ów reformator; nie ze stali on napewno, jeno z drzewa, i to stoczonego! Nazwałem powyżej, mówiąc o nim, „manekin." No, jest to nieco ostre porównanie. Nie manekin, lecz automat, który za pociśnięciem sprężyny wykrzykuje kilka frazesów: „Współwyznawcy moi. Gardzi nami cały świat..!" albo „Klątwa ludów!" albo „Wyrzutkami jesteście!" albo jeszcze „Chcę was nauczyć pracy i uczciwości!" Słowa i słowa tylko! A może Proszowski nie jest automatem, jeno fanatykiem, który nie bacząc na żadne względy, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo, nie oszczędzając nikogo, idzie prosto przed siebie? Alež przenigdy! Fanatyka nie przestraszą klęski materyalne i ciosy moralne, przeciwnie, dodadzą mu bodźca i powiększą zawziętość. Proszowski natomiast za pierwszą przegraną ucieka samotnie z placówki. A więc może na Proszowskiego oddziaływają ambicya wraz ze zmysłem praktycznym? Pchnąć współwyznawców na tory nowe — znaczyłoby zyskać i jako jednostka na szacunku ludzkim i jako część uszlachetnionej całości. Alež jeszcze mniej, aniżeli przypuszczenia poprzednie! Człowiek praktyczny, gdyby nawet podpalono jego składy zboża, pamiętając o drugiej części majątku, umieszczonej w pożyczkach, lasach, ziemi (czyż p. Choiński nie wspomina o tem?), nie poddałby się jakiejś głupiej rozpaczy, jeno kroczył dalej; człowiek taki zresztą przeżyłby raz i drugi i trzeci chwile wahania, wątpliwości, powtórnej przeróbki sposobów agitacyi, działałby wolno, ubocznie zrazu, pośrednio, gdy tymczasem Proszowski, pchnięty ręką autora, leci na oślep, niby byk, gniewem zaślepiony... Ach, prawda, mamy scenę zwątpienia, nocą, na cmentarzu, w oświetleniu łuny pożarnej, scenę... gwoli pomnożenia efektów teatralnych.

To samo nieczłowieczeństwo, co i u Proszowskiego, ta sama lalkowatość pierwotna, niezgrabna, sztywna widnieją ze wszystkich powstałych postaci. Jedynie tylko barwą ustroił je autor odmienną. Sarę i Zachowskich powlókł blejwasem; sadzami natomiast umazał karykaturalnie wykrzywionych żydów surdutowych i chałatowców. Pierwsi uosabiają dobroć i wszelkie cnoty, drudzy tworzą zbiorowisko najnikczemniejszych popędów, reagujących wszędzie i zawsze. P. Choiński widocznie nie wie, że po ziemi chodzą zupełnie inni ludzie; na ich duszę składają się i przymioty i wady zarazem w tej lub owej proporcyi; kolejno nadpływające wypadki raz te, drugi raz tamte podrażniają tak, iż człowiek, w zasadzie dobry, pod naciskiem okoliczności niejednokrotnie wykroczy przeciw etyce obowiązującej, i odwrotnie. Nie z tego, jeśliby ludzkość stwarzał p. Choiński. Wówczas część pewną możnaby zaraz za życia beatyfikować, pozostałych należałoby skartaczować i powywieszać!

Zresztą i język, którym ci panowie i panie bez różnicy wyznania, płci i wieku mówią, odejmuje im wszelkie znamiona istot żywych. Ci, którzy przypasali do stóp koturn, jak Proszowski i Sara, używają rażącej mieszaniny patosu, wytartych ogólników, przenośni o kolorycie niby to biblijnym, frazesów, pachnących zwykłą frazeologią dziennikarską, stworzoną gwoli prospektów noworocznych. Tak nikt nie mówi na świecie; nawet najnamiętniejsi fanatycy, prorocy, trybuni ludu. Inni znowu posługują się zepsutą polszczyzną, lecz tego zepsucia autor nie oparł na żadnych prawidłach, choć te mu się nastręczały bardzo wyraźnie. Tłum żydowski używa żargonu; trzeba tedy było ów żargon odzwierciedlić, do niego się przystosować. Ale p. Choiński wolał chwycić się gotowego szablonu, dostarczonego przez pisma humorystyczne.

Wychodzi zatem na jaw, iż pogromcy nauki nowoczesnej, Dantonowi, który ferował wyroki śmierci na prawdziwe nasze talenty twórcze, nie zaszkodziłaby spora ilość wiadomości psychologicznych, etnograficznych i ekonomicznych. Wówczas może jego bohaterowie przestaliby chorować na bezkrwistość.

Teraz odwracając się od tego melodramatu, niebędącego dziełem sztuki i nic rozwiązującego „kwestyi," bo taki Proszowski z żadną sprawą nie zdołałby się uporać, przejdę do sprawy ogólniejszej. Krytyka sumienna należytą dała odprawę p. Choińskiemu za jego pracę. Dość wymienić poważny głos p. Bogusławskiego w *Bibliotece warszawskiej.* A przecież dwu czy trzech literatów zanuciło hymn tryumfalny na jego cześć, na cześć „krytyka, okazującego również w dziedzinie twórczej talent niespożyty." Jak wyjaśnić ową sprzeczność? Odsłonięciem tajemnic tak zw. krytyki warszawskiej, która hołduje znanemu przysłowiu „ręka rękę myje." P. Choiński pisuje krytyki o jednej i tejsamej książce do czterech pism; jego chwalcy prócz sprawozdań literackich tworzą poezye i nowele; przezornie tedy i z własnej ochoty chcieli zaskarbić sobie łaski wszechpotężnego rozdawcy patentów na wielkość. Człowiek jest człowiekiem i trudno mu zganić dzisiaj tego, kto wczoraj prawił mu grzeczności.

Tak, tak, czytelniku, zdala siedzący od tej kuźnicy, prasą zwanej, nie wytrzeszczaj oczu ze zdziwienia zbytniego. Nie innymi to sposobami rosną nasi „utalentowani," sympatyczni," „znani," nie innymi...

A. Witski.

ŚRÓD MUZ.

VIII.

Krajobrazy w Salonie Zachęty.

Gdyby nam było wolno, mówilibyśmy tylko i tylko o pejzażach, naturalnie letnich i wiosennych, pogodnych i słonecznych. Ci, którym w malarstwie leży na sercu jedynie robota, a nigdy treść i którzy chcą bez żadnych osobistych sympatyj patrzyć na obraz i sądzić o nim, mają teraz doskonałą sposobność przekonania się, jak dusza ludzka w swem łaknieniu rozkoszy szuka czegoś odmiennego od brzydkiej, zimnej, szarej i słotnej rzeczywistości. W chwili, gdy słowa te wyjdą z pod tłoczni, może na nowo niebo będzie ciepłe i lazurowe i w sercu ludzkiem zagości lato, ale jak dotąd ohydnie jest i boleśnie — myśl i uczucie, niby igiełka magnesowa, z dziwnym uporem kierują się w tę stronę, gdzie tkwi wielki, niewidzialny, potężny magnes ziemi — *zadowolenie...*

W takich razach stajesz się mniej czułym na wszelkie subtelności wykonania, wyobraźnia nie widzi przed płótnem artysty z szeroką mycką na głowie, papierosem w ustach, paletą w jednej a pędzlem w drugiej ręce, nie poddajesz kontroli każdego jego ruchu, nie odmierzasz na szalce aptekarskiej jeho natchnienia i jego sumienności w kopiowaniu natury, ale bierzesz utwor, jakim jest, gotowym i obliczonym na to, żeby sprawić przyjemność i dać lekki przedsmak pięknej natury tobie, który byłeś dziecięciem natury prędzej, niż synem matki swojej. Radzę ci więc porzuć doktrynę przerafinowanego artyzmu, nastaw się swobodnie treści obrazu, chłoń piersią i oczami blaski słońca, zieleni i kwiatów; nic to nie wadzi, że za tę poniewierkę formułki i sekty jakiś infamis, w błocie głupoty zrodzony, odmówi ci prawa do synowskich dla twej przyrody uczuć, wielkim głosem łżyć cię będzie i zgniłemi obrzuci jabłkami.

Z całą otwartością wyznajemy, że każdy pejzaż jest dziś ładniejszy, niż zwykle. Taka wrażliwość sądu na wpływy aury jest zbrodnią dla wyroczni, ale prostem zjawiskiem dla psychologa. Inaczej wyjaśnić nam niepodobna, dlaczego p. Feliksa Brzozowskiego „Poranek" takie na nas robi wrażenie, bah, głowę być dać można, że i nie dziś tylko i na wszystkich działa on tak samo, bo zawiera i całą prawdę i całą poezyę ranka.

Wtedy, gdy ludzie po skwarnym dniu kładą się spać, natura nie drzemie bynajmniej; nie, ona po pyle i kurzu dziennej spieki i posuchy myje się, rosą zmywa łąki, krzaki i drzewa, obłoków kłębkami białymi — lazur nieba, mgłą powietrze wilży i czyści, stawami i rowami kurz łyka. Gdy więc zrywamy się nazajutrz, dokoła pachnie świeżość wilgotna i dziwna schludność; wszystko, mimo że sobie sprawy z tego nie zdajemy, wygląda jak po kąpieli w krysztale wód i daje jednę z chwil najwyższej błogości. Ten właśnie moment odtwarza p. Brzozowski. Godzina może być piąta — szósta: słońce, jeszcze niskie, świeci srebrno, błękit przeczysty robi wrażenie, jak gdyby go roztopionem srebrem napuszczono, delikatne, strzępy na niebie mają też dyskretnie osrebrzone rąbki wschodnie; nigdzie nie widać złota, które dopiero z południem spływa na ziemię; nad wodą smuga mgły się unosi, płynąc jak gdyby z ukrytego między zaroślami kąta stawu; wielkie drzewa na brzegu stoją jasne, lśniące w niezmąconej najlżejszym wietrzykiem ciszy; woda głęboka i przezroczą; bydło, przechodząc przez nią, ryczy na powitanie dnia; może ono w ten sposób chce uczyć świat, jak pojmować Mickiewicza i swojską naturę? Azaliż cielce nie mają głosu?

Gdyby kto wziął rozłogi polskie z jeziorem w pośrodku wtedy, gdy we wsi pierwsze dymy z kominów wychodzą i kazał im przejrzeć się w olbrzymiem zwierciadle, mielibyśmy widok całkiem podobny do malowidła p. Brzozowskiego Nie brak w niem ani jednego szczegółu, ani jednego rysu znamiennego; jest wszystko, co dostrzedz może źrenica szczerego, pilnego obserwatora wsi; brak tylko zapachu rannej ochłody, ale i to niezupełnie, czujemy go bowiem wyobraźnią dzięki mgle, która ma całą lekkość i powiewność ale i ostrość zarazem. Nawet i owo zwierciadło znalazło się — i w tem właśnie tkwi błąd, bo obraz jest zanadto polerowny. Czy pędzel „szeroki," czy „wązki," czy chlapie po płótnie, czy wylizuje je, to rzecz drugorzędnej wagi, o ile charakter przedmiotu nie cierpi na tem. W obecnym właśnie wypadku natura jest nietylko wymytą, co się autorowi chwali, ale uczesaną i utrefioną, co mu tylko zganić można. Przyroda, zwłaszcza rano, nie zna wyszukanej toalety; jest czysta jak Wiochna i jak ona promienną, ale jak ona cerę ma zdrową i szorstką. Tylko oczy natury — Wiochny — to jest woda, mogą być gładkie i atłasowe..

Bardzo być może, że ładny ten pejzaż zawdzięcza wiele sąsiedztwu z obrazem p. Gościmskiego, który przedstawia również wodę okoloną sitowiem i zaroślami, ale w sposób parodyujący i jedno i drugie. Na wodzie leżą jakieś wałki z waty do wyklejania szpar w oknach i mają pewnie wyobrażać zmarszczki, zaś zieleń dokoła jest dziwnie mineralna, kłująca w oczy, twarda i krótko mówiąc — fałszywa. Całość świeci się i błyszczy, jak pudło nowiutkiego powozu. Nie można jednak powiedzieć, ażeby malarz ten nie miał stron silnych; oto dobrze oddaje on sine powietrze, tworząc ową t. zw. *ambiante* lasu, opar spowijający go, co stanowi główną zaletę drugiego jego płótna p. n. „Góry Świętokrzyzkie, widziane ze Starej Słupi." Posiada ono dużo światła i powietrza, lasy dobrze układają się po wzgórzu, mają ton prawdziwy, ładnie pławią się w błękitnawej mgle, może nawet za ładnie, ale pola i łany u stóp wyniosłości pełne są niemożliwego koloru. Grusze polne nie mają za grosz charakteru ani właściwej sobie barwy, zaś pszenica, zajmująca cały niemal pierwszy plan, jest przesadnie silna w tonie. Gdyby ona była naprawdę tak ultra-dojrzałą, w kłosach nie byłoby już ani ziarenka; artysta zapatrzył się najwidoczniej na... miód w plastrach i jego tonu użył w tym razie. Pszenica ta zrzeszta daje się formalnie łupać i krajać, tak jest zwartą, twardą, masywną.

Nie można odmówić śmiałości p. Żelechowskiemu, którego „Głupi Jasiek" jest kompozycyą na większą skalę. Nie spotykaliśmy się wcześniej z robotami tego artysty, ale najnowsza świadczy wymownie, że to malarz, pojmujący całą wartość prostoty motywu. Bo cóż może być zwyklejszego nad skrawek zielonego pagórka, którego spadkiem idzie pastuszek wiejski pędzący przed sobą stado gęsi? Scena jakich wiele, nie zużytkowana jednak dotąd w takich rozmiarach i w ten sposób. Moment jej główny stanowi parobek, z ogólnego wyglądu zwykły hebes, którego każda wieś polska ma przynajmniej jeden egzemplarz, w zgrzebnej, pełnej łat i dziur koszuli, w spodniach, których szerokość artysta gwoli większego charakteru przeholował, z batem w ręku, kozikiem, kluczem i całym dobytkiem sieroty u pasa, z kudłatemi włosami na głowie itd. Wszystko to zawiera dużo typu, podobnie jak i sama twarz, ale jej wyrazu żadną miarą głupim, idyotycznym nazwać nie można, bo jest daleko głębszym, niż wejrzenie Aleksandra Macedońskiego na obrazie Simoniego. Co do gęsi, to te, choć dobre w swym białobrudnym kolorze, nie mają jednak nic ze swego rozgęganego życia, dobry jednak efekt kolorystyczny robią na tle szmaragdowej zieleni łąki i widnej wdali drogi, wysadzonej wierzbami.

Szkoda tylko, że murawa, malowana drobiazgowo, nie okazuje ani jednego charakterystycznego ziela lub kwiecia; jest to sobie po prostu zielony, strzępiasty dywan; a jeszcze większa szkoda, że wierzby nie mają swego mdławo-szarego odcienia i nie różnią się wcale kolorem od reszty krajobrazu. Mimo dużo dosyć pierwotnych wad, „Głupiego Jaśka" wyróżnia wdzięk i prostota układu i pomysłu.

Jak różne stopnie umiejętności spotkać można na jednej prawie ścianie, to widać dzisiaj na dwu obrazach: Jeden z nich — autora nie pamiętam — przedstawia wnętrze lasu sosnowego a w niem myśliwego i pomykającego szaraka. Dziwny okaz niedołęztwa! Młode chojaki mają zamiast pędów — miotły brudnej barwy, grube wielkie, twarde, po prostu gwoździmi do gałęzi poprzybijane wiechy. Nieopodal zaś takie same wnętrze lasu zamieścił pan Juljan Maszyński. Mniejsza o cygański tabor i dosyć niewyraźne i niezdarne postawy oraz ruchy dwojga ludzi. Giną one wobec doskonałego światła, padającego na odległą polanę, prawdziwych sklepień gałęzi i co główna, wobec samych gałęzi sosnowych. Te są wyborne w tonie, miękkie a przecież prawdziwie iglaste. Niewątpliwie jedne to z lepiej malowanych sosen w ogóle i jeden z lepszych, prawdziwie usuwających się w głąb lasów.

Bardzo rzadkim na wystawie gościem są obrazy p. Brochockiego. Jeden z nich, niedawno zawieszony, należy do bardzo udatnych. Tytuł jego „O zachodzie słońca"—motywem zaś naprawdę jest wykręcony w półkole parów górski z doskonałą perspektywą. Brzegi jego usłane wielkim mchem sprawiają całkiem słusznie wrażenie olbrzymich, zielonych, pulchnych warg; kępiasta, falująca, poduszkowata zieleń pochwycona jest i oddana bardzo dobrze, zarówno jak i dyskretnie z dna wyzierająca srebrzysta wstęga potoku. Subtelnie też i prawdziwie przesycone są nadbrzeżne kurhany i trawy złotawym odblaskiem słońca, które nie kładzie się na nich plastrami, lecz przenika żółtawą mgłą.

Daleko trudniej nam ocenić „Drogę do Ałuszty" p. Pawliszaka. Że południowy ten motyw z błękitnym rąbkiem morza i białemi murami miasta jest dobrze oświetlony i słońca pełen — to widoczne, o ile jednak przewyższa on nieszczęśnie pospolity szablon tego rodzaju oryentaliów prawdą, nie podobna bez znajomości samej okolicy wyrokować. Łatwiej o wiele — o brzegu morskim p. Wankiego, który obfituje w ślady

wysokiej dosyć techniki, ale kłamie rzeczywistości czekoladowym kolorytem całego obrazu i naturą gruntu nadwodnego. Nie jest to bowiem zwykły pas żwiru lub nawet błota, lecz miękkiej, pulchnej mady, papki lśniącej i grząskiej tak dalece, że chyba tylko owady mogłyby po niej stąpać bezpiecznie, zaś wszelki inny twór musiałby wejść w nie, jak migdał w ciasto pod naciskiem gospodyni. Że rybaczek na brzegu ten smutny los nie spotyka, uważać należy za istny cud.

Oddać *suum cuique* wobec wielkiej ilości nagromadzonych w obecnej chwili krajobrazów — utopia. Krótko więc powiemy, że z dwóch płócien p. Ryszkiewicza bezwarunkowo prym trzyma „Miasteczko Wilkia nad Niemnem,“ jako ładna i malownicza kupa domostw nad wielką wydmą piaszczystą, opadającą ku rzece; że zręcznym jest surowy, chłodny ranek p. Rapackiego, nad wielką równiną łąk, w pośrodku której niby o chłodzie i głodzie, otulona fartuchem stoi dziewucha wiejska śród stada gęsi. Tylko obłoki mają za dużo impresyonistycznej jaskrawości i wapna. Dlaczego p. Owidzki zakochawszy się raz w cioci Telimenie, pokazuje ją, lub jej waryanty wszędzie, i fałszywym romantyzmem w rodzaju „Weź różę“ psuje dobre swe studya zieleni, ogrodów, alej, klombów — to dla nas zagadka. Że „Maki“ p. Wrzeszcza mogłyby być motywem i obrazkiem niezłym, gdyby miały istotne podobieństwo do delikatnych, wiotkich główek maku i gdyby wpośród nich stojąca chałupa nie zamieściła swej strzechy również w kolorowy mak — to wątpliwości nie ulega.

Szereg akwarel p. Szewczyka na temata znane i oklepane z ulic małego miasteczka i ze wsi wygląda sobie bezpretensyonalnie i prawie jak szkice humorystyczne — a jednak dużo w nich prawdy, swobody w malowaniu i charakteru w koniach i ludziach.

Salonu Krywulta pokazać już czytelnikowi nie mogę. Zanim uda się to uczynić, niech idzie — radzę mu z duszy — i zobaczy przedewszystkiem „Brzeg Morskiego oka“ Witkiewicza. Niech patrzy i podziwia arcydzieło prawdy, siły, poezyi i sumienności. Nic więcej dodać nie możemy. Jak Arnold Böcklin — słyszę jak na tę melodyę z „zagranicznej katarynki“ oburzają się cymbały — pierwszy i jedyny oddał dziwny ton wody jezior szwajcarskich, widzianej z blizka, gdy się przelewa falami z góry na dół, tak Witkiewicz pierwszy uchwycił — pewnie po żmudnych studyach — przecudowny, pawiemi blaskami mieniący się kolor „czarnych stawów,“ spokojny, głęboki, zaklęty w czarowną szybę.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

K A R T K I.

Rozwój żeglugi morskiej. O wzmożeniu się tegoczesnej wędrówki ludów po globie ziemskim i wymiany produktów materyalnych oraz umysłowych świadczy jaskrawo wzrost morskich środków transportu. W 1820 przewieziono ogółem 3 z górą miliony tonn żaglowcami i 6 tysięcy parostatkami, tymczasem w 1880 na pierwszych przewieziono już 15, na drugich $5\frac{1}{2}$ milionów tonn! Postęp olbrzymi widać też w doskonaleniu budowy okrętów, zwłaszcza parostatków pocztowo-osobowych. Ledwie jeden olbrzym został spuszczono na wodę, a już słychać o jego współzawodniku jeszcze szybszym i potężniejszym. Imman Company niedawno zbudował „Miasto New York“; statek ten przedstawiał siłę 20 tysięcy koni parowych, robił na godzinę 37 kilometrów (mniej więcej szybkość zwyczajnych pociągów) i spotrzebowywał dziennie 400 tonn węgla; konkurencya firmy Cunord zmusiła ją niebawem do wysłania dwóch nowych, jeszcze większych parowców i mimo to zabrała jej pierwsze miejsce. Tysiące ludzi i góry towarów przepływają w łonie i na grzbiecie tych kolosów do portów przez Atlantyk o oznaczonej godzinie, po $6\frac{1}{4}$ dniach podróży. Dość powiedzieć, że koszt zbudowania takiego statku dosięga 8—10 milionów franków! Rozwój ten odbywa się śród wzajemnej konkurencyi pomiędzy towarzystwami angielskiemi i amerykańskiemi, a częściowo francuskiemi, zresztą Francya została dzisiaj usunięta i Niemcy zajęły jej miejsce, a nawet zaczęły zagrażać poważnie stanowisku Anglii. W tej zmianie znaczenia morskiego ogromną rolę odegrał połów emigracyjny, płynący stale z Europy do kolonij. Z Anglii wynosi on rocznie 260,000 wychodźców, z Niemiec 100,000, z Francyi tylko 10,000. Również Ameryka zaczyna usuwać Anglię z jej dotychczasowego produkcyjnego stanowiska. W 1889 największy transport przypadł już na port new-yorkski, a mianowicie $19\frac{1}{2}$ mil. tonn, wówczas kiedy w 1861 liczono tylko $4\frac{1}{2}$. Wielkie porty Anglii zajęły już dalszy plan, w 1889 na port londyński przypadło 19, na Liverpool w 1886 tylko 15, na New Castle 13 i Cardiff 10 mil. tonn. Dalsze stanowisko przypada Konstantynopolowi, który, gdyby nie znajdował się w ręku tureckiem, bezwarunkowo dzięki swemu położeniu stałby się pierwszorzędnem ogniskiem handlowem. W 1888 transport wynosił 11 mil. tonn, w tej liczbie 7 przypadło na firmy angielskie — klucz do zrozumienia zabiegów Anglii około Porty. Marsylia przedstawia 10-milionowy transport, Hamburg blizko 9, Amsterdam i Antwerpia 8. Rzuca się w oczy szybki rozrost morski Niemiec. Dla uzupełnienia powyższego obrazu należy dodać usiłowania, czynione w celu stworzenia t. zw. portów lądowych, tj. połączenia niektórych ognisk handlu lądowego bezpośrednio z morzem i umożliwienia dostępu największym okrętom. Anglia dała przykład. Kanał, łączący Manchester z morzem, będzie długi 57 klm., głęboki 8 metrów, szeroki przy podstawie $36\frac{1}{2}$, na powierzchni $52\frac{1}{2}$ metrów. Cztery szluzy będą regulowały poziom wód. Koszty wynoszą 250 mil. franków. Jeszcze potężniejszy plan podniesiono we Francyi—zrobienia z Paryża portu morskiego. Kanał szedłby do Rouen, posiadałby 180 klm. długości i kosztowałby 150 mil. franków. Dodamy, że Anglia urządza u siebie w Londynie olbrzymią wystawę marynarki i sztuki żeglarskiej.

Cywilizacya, poddana próbie. Europa niejednokrotnie może się przyjrzeć niezdrowotności wielu swoich upiększeń, kosmetyków i zwyczajów. Obecnie statystyka medyczna w N. Zelandyi wykazała dobitnie wpływy gorsetów pań naszych. Przez szereg pokoleń kobiety warstw średnich i zamożnych przyzwyczaiły się do bandażowania swoich piersi i powstrzymywania rozrostu klatki piersiowej, oraz wywierania nacisku na płód. Zbyt niepodatne, zwolna przepłaciły to życiem. Dzisiaj żony misyonarzów wraz z biblią i najmictwem zaniosły ten dobytek salonowej cywilizacyi do barbarzyńskiej Nowej Zelandyi. Kobieta tamtejsza, przyzwyczajona, aby organizm jej był swobodny od powijaków gorsetowych, piersi zaś całe dotykały powietrza, odrazu poczuła wszystkie następstwa zwyczaju noszenia gorsetów. Pisma medyczne amerykańskie donoszą, że nowozelandki wymierają nader licznie dzięki skutkom szkodliwym, wywołanym przez zapanowanie tej mody...

PAMIĘTNIK.

Przerażony.

Dziennikarze warszawscy często oprowadzają po naszym kraju manekiny cudzoziemców i kładą im w usta krytykę tutejszych stosunków, przedstawiających zupełną sprzeczność z zagranicznymi. Otóż niech i mnie wolno będzie przedstawić Wam takiego gościa, który tembardziej zasługuje na uwagę, że prawdziwy i że wyjechał stąd bardziej przerażony, niż zdumiony. Jest to szwed, p. Eryk S., zamieszkały w Dannemorze i ożeniony z polką, która nakłoniła go do tej podróży. Posłuchajmy jego opowieści.

„Według naszego (szwedzkiego) zwyczaju, pojechaliśmy do dworca kolei Nadwiślańskiej tramwajem. Opłacone bilety żona włożyła do portmonetki. Za chwilę zjawił się kontroler, żona sięgnęła do kieszeni, lecz już w niej portmonetki nie znalazła. Mieliśmy kłopot, ale strata była niewielka. Na dworcu strzegliśmy się rozmaitych podejrzanych sąsiadów; gdy jednak wysiedłem i chciałem obwiązać sobie szyję, spostrzegłem, że mi wyciągnięto fular z palta.

Jechaliśmy do kuzynów mojej żony, właścicieli folwarku niedaleko trzeciej, czy czwartej stacyi kolejowej. Przed ich wiejskim domem powitała nas naprzód szczekaniem gromada psów, małych i dużych, uwiązanych i swobodnych.

— Widzę, że pan uprawia sport myśliwski — rzekłem, zaznajomiwszy się z gospodarzem.

— Nie mam na to czasu — odpowiedział.

— A te psy?

— To od złodziei.

Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że w stajni i oborze sypia służba z nabitą bronią, a nadto przez całą noc obchodzi zabudowania stróż; pomimo to bywają częste kradzieże. W ogrodzie zobaczyłem dwu żydów, którzy oglądali kwitnące drzewa.

— Dlaczego pan sam nie sprzedajesz owoców hurtownikom? — zapytałem.

— Zanim by dojrzały, wszystkie oberwaliby złodzieje.

Pola i drogi znalazłem dziwnie puste; na moje zdziwienie, że tyle ziemi marnieje i że przecie miedze i gościńce możnaby obsadzić drzewami, gospodarz upewnił mnie, że wszystkie drzewka nawet dzikie wyrwaliby chłopi.

— Na co? — spytałem.

— Na nic — rzekł chłodno.

Gościnni ludzie pragnęli, ażebyśmy pozostali u nich jeszcze kilka godzin po odejściu ze stacyi ostatniego pociągu, ale sam gospodarz zreflektował się:

— Wreszcie nie nalegam, bo obawiam się, ażeby was jadących końmi nie napadli na szosie złodzieje.

Może bylibyśmy jednak zdobyli się na tę podróż, gdyby żona nie zagadnęła mnie:

— Czy zamknąłeś pokój w hotelu?

— Zamykać pokój w hotelu? Nigdy o tem nie słyszałem.

— Ach — zawołała strwożona — nasze kufry otwarte.

Zrozumiałem! Trzeba było co prędzej wracać. Jadąc do stacyi, spotkaliśmy biegnącego, zadyszanego i spłakanego włościanina. Spytawszy naszego furmana, czy ten nie widział kogoś jadącego na siwym koniu, skradzionym mu przed karczmą, polecial dalej. Siedziałem w wagonie odurzony nieznanemi wrażeniami. Złodziej tu, złodziej tam, w tramwaju, stajni, oborze, ogrodzie, na drodze, a teraz zapewne w hotelu, przetrząsa nasze tłomoczki, zabiera cenniejsze rzeczy... Pot mnie oblewał. Zdawało mi się, że na około siebie słyszę szelest skrzydeł duchów kradnących, a one gęsto zapełniają powietrze i zapuszczają swe ręce w cudze kieszenie... Wskoczyliśmy z żoną do dorożki, już nie badając, czy wszystko przy sobie mamy. Jesteśmy wreszcie w hotelu. Na szczęście w pokoju znaleźliśmy rzeczy nietknięte. Ale kelner nie oszczędził mi okropnego przypomnienia:

— Nic nie zginęło — rzekł — ale niech państwo będą ostrożni, bo po korytarzach hotelu włóczą się często złodzieje.

Śnili mi się przez noc całą, tak że przebudziłem żonę krzykiem. Zerwała się wylękniona i przekonana, że nas rzeczywiście okradają. Ledwie uspokoiliśmy się oboje. Rano powiedziałem do niej:

— Moje dziecko, marzysz o tem, ażebym się tu przeniósł i coś nabył... Nie mogę, bo nic mi nie ręczy, że pewnego dnia nie ukra-

dłiby mi ciebie. W Szwecyi jestem pewien, żeś moja.

Uśmiechnęła się smutnie. Nie sprawiałem jej dalej przykrości tym tematem, ale pana pytam: jak wy w takich warunkach żyć możecie?"

Cóż robić — żyjemy... Sprawiamy sobie tylko ulgę czytaniem opisów kradzieży... u bliźnich. *O.*

Totalizator i wystawy inwentarza.

„Gierdawa" miał gwiazdę na czole, więc można było przewidywać jego zwycięztwo, a kto w nie nie wierzył, sam sobie winien. Ale „Kordelia," marna „Kordelia," którą p. Kronenberg sprzedał stajni janowskiej, że ta przyjdzie pierwsza do mety w wyścigu o nagrodę Cesarską — tego nie przewidywał żaden „sportsman," nawet tak biegły w ocenianiu końskiej „performance," jak posłańcy publiczni i kelnerzy, grający w totalizatorze. To też nic dziwnego, że płacił on 70 rs. za 10 rs. stawki. Jeszcze pisma ilustrowane nie odrysowały nam tej bohaterki, dla której *Kuryery* przepisały kawał angielskiego Olendorfa, więc możemy tylko wyobraźnią przedstawić sobie, że jest to chuda szkapa, podobna do wszystkich jej rodzaju. Natomiast możemy z wszelką pewnością stwierdzić, że ona to głównie zrujnowała wielu naszych „sportsmanów." Opowiadano nam np., że jeden z nich, woźny, przegrał dotąd na wyścigach w totalizatorze 60 rs., najwięcej zaś zabrała mu „Kordelia," gdy trzykrotnie „obstawił" innego konia, który przyszedł ostatni. Inny znowu „sportsman," chłopiec rozrabiający mydło w razurze, który miał nadzieję za pieniądze wygrane w totalizatorze wykupić swoje palto z lombardu, potrzebne mu skutkiem dokuczliwych chłodów, zastawił dwie pary majtek i skrzypce swego przyjaciela za 10 rs., które dzięki „Kordelii" stracił. Podobne zawody spotkały wielu innych „sportsmanów," zwłaszcza że ruletka jest bardzo czynna, bo przesypuje z jednych kieszeni do drugich podczas paru godzin gry od 30 do 40,000 rs.!

Czemu tę piękną przystawkę szanownej instytucyi gonitw końskich pomijają ich dziejopisarze i wielbiciele? Pominął ją również w swym „Krótkim rysie 50-letniej działalności Towarzystwa wyścigów" p. Kamiński. Zajął on się wyłącznie jego stroną administracyjną i finansową. Nie dotyka tego naczynia i p. Wotowski, który w swem piśmie podnosi tylko stajenną działalność hodowli wyścigowców. Co prawda, nie bardzo rozumiemy, dlaczego koń, który zdobył jakąś nagrodę lub tylko ubiegał się o nią, ma być rodzicem, przekazującym użytkowe przymioty na swe potomstwo, przeznaczone do pracy — ale mniejsza o to. Chodzi nam tu bardziej o coś ważniejszego, niż o zgrywanie się głupich biedaków przy wielkopańskiej zabawie, niż o sportową teoryę dziedziczności, mianowicie o wystawy inwentarza, za któremi prasa coraz mocniej głos podnosi. Wbrew powszechnemu mniemaniu (któremu i my wierzyliśmy) *Kuryer codzienny* wykazał, że z wystaw tych Towarzystwo wyścigów konnych ciągnęło znakomite zyski. Z opłat członków (których liczba powiększyła się) miewało ono dochodu rocznego przeszło 11,000 rs., podczas gdy po zaniechaniu wystaw dosięgało zaledwie 4,000. Ponieważ zaś były one doskonałym i korzystnym rynkiem dla wszelkiego rodzaju hodowców, przeto ci bardzo słusznie upominają się o przywrócenie im targu, tem słuszniej, że Towarzystwo posiada na ten cel zezwolenie władzy, a nawet pierwotny jego statut (z 1841 r.) zawiera w sobie i „wystawę zwierząt gospodarskich w Królestwie Polskiem." Nie rozumiemy tedy, co dotąd stało na przeszkodzie wskrzeszeniu pożytecznego przedsięwzięcia, bo chyba w łonie instytucyi i życzliwość dla ziemian istnieje. Czyżby były jakieś dąsy, których nie dostrzegaliśmy? Zaiste, jeżeli tak mężnie broniono przyjemności „sportsmanów," grających w totalizatorze, to na niemniejszą opiekę ze strony Towarzystwa zasługiwali hodowcy. No, ale dajmy pokój wymówkom, skoro ono na ostatniem zebraniu swych członków z niewielką opozycyą mniejszości postanowiło powołać do życia wystawy. *P.*

Marnotrawna bieda i skąpy zbytek.

Gdyby jakiekolwiek wydawnictwo naukowe cieszyło się dostatecznem poparciem ze strony społeczeństwa, moglibyśmy naśladować Jehowę względem Sodomy, który żądał w niej tylko jednego cnotliwego człowieka dla powstrzymania siarczystej ulewy. Niestety, nie mamy zbawczego wyjątku. *Ateneum* i *Biblioteka warszawska* żyją zapomogami swych dobrodziejów, *Wszechświat* niedawno polecał swoje niedobory uwadze ogółu, *Zdrowie* ssie częściowo swoje soki pieniężne z ofiar, *Pamiętnik fizyograficzny* istnieje dzięki Kasie Mianowskiego, *Wisła*, która taką objawiła żywotność, która z taką umiejętnością podjęła badanie naszego ludu, która wydobyła i zebrała tyle cennego materyału w dziedzinie etnografii, po pięciu latach owocnej pracy pisze w numerze okazowym: „*Wisła* w połowie nie zwraca dotąd wykładanych na nią kosztów. Odwołujemy się przeto do ogółu naszego z zapytaniem: czy życzy sobie dalszego wydawnictwa *Wisły?* Czy uznaje potrzebę dalszego jej istnienia? Czy zechce poprzeć czynem to uznanie? Od tego bowiem zależeć będzie nietylko dalszy rozwój, ale i istnienie czasopisma naszego." Jeżeliby nam powiedziano, że gdzieś przebywa biedny rzemieślnik, Wisłowski, który dla swych dobrych wyrobów nie ma zbytu, a od naszych drobnych ofiar zależy jego istnienie, z pewnością pospieszylibyśmy mu na pomoc, bądź kupując od niego owe wyroby, bądź wspierając go datkami. A jednakże życie tego człowieka posiadałoby dla społeczeństwa mniejszą wartość, niż życie wydawnictwa naukowego. Czemuż więc tu jesteśmy obojętni? Na podtrzymanie tej literatury, jaka istnieje, środków nam nie brak. Bo zważmy tylko, ile nas kosztują zbytki artystyczne, toaletowe, podróżnicze, restauracyjne, pijackie itd. Przez totalizator podczas wyścigów przepływa corocznie kilkakroć sto tysięcy rubli, przez stoły karciane — miliony, przez sale balowe—również, czyż więc możemy tłomaczyć się, że jesteśmy za biedni na opłatę 40 pism peryodycznych a paru naukowych? W naszem gospodarstwie stosujemy najgorszą zasadę ekonomiczną: uprawiamy marnotrawną biedę i skąpy zbytek. Rzucamy tysiące rubli tam, gdzie narody bogate żałują setek, a odmawiamy setek tam, gdzie powinniśmy dać tysiące. Ta metoda zapewnia nam błyskotliwe pozory, które swym szychowym płaszczem okrywają ciemnotę i nędzę. *W.*

NA WIDNOKRĘGU.

Bazar wyrobów kobiecych w Lublinie. — Fuszerka naszych rzemieślników.—Skarga ślusarzy radomskich.— „Głębokość poczucia obowiązku" fabrykantów łódzkich. — Projekt ubezpieczenia zarobków. — Praca nieletnich. — Szał Parcelacyjny. — Nowy „stan obywatelski."

Przed rokiem kilka „dam dobrej woli" założyło w Lublinie Bazar wyrobów kobiecych, w celu dostarczania pracy „niezamożnym" robotnicom. Nie słyszeliśmy nigdy o istnieniu *zamożnych*. Trzeba zatem się domyślać, że do kategoryi, którą się zaopiekowały „damy dobrej woli," należą kobiety i dziewczęta walczące z nędzą, wstydzące się żebrać lub trudnić *zawodowo* innego rodzaju zarobkiem. Zadaniem przedsiębiorstwa filantropijno-przemysłowego jest — otworzenie zbytu dla wyrobów ręcznych, albo — uprzystępnienie pracy tym, które się nie mogły wcisnąć pod sztandar wyzysku zakładów damsko-krawieckich, hafciarskich, krawaciarskich i innych. Ale od samego początku nowa instytucya musiała zwalczać na każdym kroku znamienne przeszkody, wynikające skutkiem jej *barwy* i *zadania*: jako filantropijną — lekceważą, nie chcą popierać, a nawet szkodzą plotkami te „damy," które zazdroszczą, że pierwsze nie wpadły na myśl działalności pochlebnej i nie stały się inicyatorkami przedsięwzięcia, za które można poklask zyskać. Jako przemysłową — starają się zabić ją wszelkimi środkami spółzawodnictwa rozmaici handlarze, którym bruździ zakład, zadawalający się tylko zwrotem kosztów. Pozostają wreszcie spożywcy (a tych najwięcej), którzy nie wnikając w pobudki i cele, zwracają uwagę po za tanioścją na dobroć towaru. Pod tym drugim względem bazar podobno nie zawsze celował. Robotnice, sądząc, iż mają do czynienia z instytucyą dobroczynną zarzuciły zrazu sklep niepraktycznemi i niewielkiej wartości robotami, żądając natychmiastowej zapłaty. Gdy jej nie otrzymały i gdy znacznej ich liczbie odmówiono nadal zajęcia, jako nieudolnym, zaczęły szemrać na krzywdę. To wszystko znacznie zachwiało podstawy Bazaru i wstrzymało jego rozwój; nie zraziło jednak kierowniczek do prowadzenia nadal zaczętego dzieła, za co im, obok podziwu, należy się uznanie. Ponieważ nazwano rzeczą „niedyskretną" odkrywać stronę rachunkową przedsiębiorstwa, korzystamy z tych szczegółów, na których ujawnienie w sprawozdaniu „dyskrecya" pozwoliła: Dochód brutto w ciągu roku (pierwszego od założenia) wyniósł rs. 5,513 kop. $25\frac{1}{2}$, na czem zyskano rs. 1,027 kop. 49, tj. od 10 do 20% względnie do sprzedawanych artykułów; a że wydatki „były nieco większe" (tu są pominięte cyfry, może dla tego, że kobiety wogóle nie czują do nich wielkiej sympatyi) — przeto zamknięto bilans „z małą stratą" (znowu brak cyfr), „która przy więcej ożywionem popieraniu łatwo może być wyrównaną." Za dostarczone roboty wypłacono i udzielono zaliczek rs. 1,493 kop. 52, za roboty oddane w komis rs. 279 kop. $27\frac{1}{2}$ i spłacono długu rs. 72 kop. 8. Roboty komisowe sprzedawane są po cenie umówionej z robotnicą, z dodaniem 10% dla sklepu. „Obstalunki lub rzeczy gotowe obrachowuje się procentem określonym, a wypłata za robotę uiszcza się zaraz lub na zażądanie pracownicy. Cen nie narzuca się pracującej, ona sama swoje żądania oznacza, a Bazar zawsze je uwzględnia, *chyba* że robota jest wykonana niedbale." To *chyba* — jest prawdopodobnie najlepszym regulatorem „żądań" robotnicy, tak pięknie brzmiących w sprawozdaniu, umieszczonem w *Gazecie lubelskiej*. Nic nie mamy przeciwko temu, że w wynagradzaniu roboty niedbałej lub niedobrej nie uwzględnia się cen żądanych, ale nie możemy pochwalić tych wązkich w warunkach wyłomów, przez które łatwo dojrzeć obiecanki, ale trudno się przecisnąć do nich. Niech będzie mniej przynęty, lecz więcej otwartego działania, a z pewnością Bazar przy swej energii spełni z pożytkiem zadanie nakreślone w programie.

Przedsiębiorstwo „dam" lubelskich nie zaspokaja dziś jeszcze wymagań spożywców. Ale mogą się one przynajmniej tem pocieszyć, że wogóle jakość wyrobów rzemieślników tamtejszych budzi niezadowolenie w odbiorcach. *Gazeta lubelska* stara się rozwiązać zagadkę tej fuszerki powszechnej. Twierdzi ona, iż Lublin w większości posiada rzemieślników, którzy ani czytać, ani pisać nie umieją, „o rysunku mają takie wyobrażenie, jak dziecko o obrazkach, tem samem z żadnego pisma specyalnego, ani z poradnika korzystać nie mogą. Nauczywszy się rzemiosła od ojca lub dziada, za owych dobrych czasów, kiedy się mody nie zmieniały przez całe wieki,

a odbiorcom chodziło o trwałość nie zaś elegancyę, dotąd nie postąpili ani na krok jeden naprzód pod względem wykończenia i wzorów. Wyrzekają na ciężkie czasy, na brak roboty, na niesprawiedliwość ludzką, na żydów lichwiarzy, nie chcąc zrozumieć tego, że nie idąc za postępem, nie stosując się do wymagań czasu — upadają, w wielu razach wyrzekać się muszą zamówień, gdyż ich wykonać nie potrafią. Wreszcie sami odbiorcy dziś już dobrze wiedzą, do kogo mają się udawać, ażeby robota wykonana była dobrze i unikają starannie fuszerów." W słowach tych niema zbytniej przesady i poniekąd dadzą się one zastosować w ogóle do wielu naszych rzemieślników. Gdy za granicą wytwórcy niemal zgadują myśli i upodobania odbiorców, gdy w lot chwytają wszelkie udoskonalenia, starają się na wyścigi kształcić w szerszym zakresie teoretycznie, u nas półki i składy w miastach prowincyonalnych zapełnione są przedmiotami o przestarzałych fasonach, oddawna wygnanych z rynków zagranicznych. Jeżeli tam drobni rzemieślnicy, ośmielają się współzawodniczyć z powodzią wyrobów fabrycznych — usiłują im przynajmniej sprostać pod względem świeżości pomysłu i jakości przedmiotu. Bardzo wielu naszych rzemieślników nie posiada nawet świadectw z ukończenia szkoły niedzielnej, pomimo obostrzeń w tym kierunku, a kary nakładane na majstrów za nieposyłanie uczniów do szkoły są na porządku dziennym.

Jeżeli majster nie poczuwa się do żadnego obowiązku względem swego terminatora, to tem mniejszymi skrupułami rządzi się w stosunku z czeladnikami po za wyzyskaniem jego siły mięśniowej. Wynajmuje go do pracy za pewne wynagrodzenie „na lon" (na dniówkę) lub „na akord" (od sztuki), a zwalnia i każe iść „na cztery wiatry," gdy już mu na nic się nie przyda. Musi to często się powtarzać, skoro cierpliwi na niepowodzenia czeladnicy ślusarscy w Radomiu wystąpili ze skargą zbiorową na swych pracodawców w *Gazecie* miejscowej. Między innemi narzekają oni na rozwiązanie przed dziewięciu laty t. zw. „gospody," mającej przyjazne warunki dla rozwoju. Ową instytucyę średniowieczną chcieliby oni wskrzesić i nie byłoby to wcale anachronizmem, gdyż w warunkach pracy u drobnych majstrów mało zmian zaszło w ciągu paru wieków. Wobec tego „gospody" jako doraźny środek ratunkowy mogą być bardzo pożyteczne. Celem ich jest nieść pomoc ludziom pozbawionym pracy; utrzymują one kasy chorych („Krankkasy") i fundusze zasiłkowe dla wędrownych.

Właściciele fabryki łódzkiej pod firmą „Blum i Ginsberg" dotknięci zostali klęską sezonową — pożarem. Rozumie się, ponieśli taką krzywdę, jaką może ponieść salamandra; ale i osmalenie skóry asekuracyjnej coś znaczy, chcieli więc z niej zetrzeć kopeć za pośrednictwem 120 robotników, odprawiając ich z pustemi rękami. Ale energiczny protest z ich strony zbudził w sercach fabrykantów „głębokość poczucia obowiązków względem poszkodowanych podwładnych." Owocem tego „wzruszenia" była wypłata dwudniowego zarobku nad czas, w którym robotnicy przed pożarem pracowali. Nie na wiele się ta hojność przydała ludziom żonatym i dzietnym, wyrzuconym raptownie na bruk i zmuszonym walczyć z większą niż kiedykolwiek trudnością o zarobek, z powodu znacznego napływu robotników z Żyrardowa. Korespondent *Gazety radomskiej* doradza, iżby w wypadkach klęski ogniowej dobrodziejstwo ubezpieczenia spływało nietylko na fabrykantów, lecz i robotników. „Nad tego rodzaju odszkodowaniami powinien być rozciągnięty przymus bezwarunkowy, któryby najkorzystniej dla stron obu mógłby być wcielony w zwyczaj jednoczesnego z asekuracyą fabryki ubezpieczenia dwutygodniowego zarobku robotników, wypłacanego im następnie po pożarze. Odszkodowanie podobne zabezpieczałoby robotnikowi choć krótkie istnienie i uczyniło go niezależnym w danym wypadku od wspaniałomyślności chlebodawcy, na którą bodajby nigdy liczyć nie potrzebował." Możeby to było dobre, ale tylko w takim razie, gdyby poszkodowani nie potrzebowali dotykalnie odczuwać przysłowia o słońcu i rosie, tj. gdyby mogli otrzymywać wynagrodzenie *natychmiast* po pożarze, pomijając niezliczone szczeble formalistyki, którą towarzystwom asekuracyjnym ostrożność dyktuje.

Szkoda, że dotychczas niema skutecznego sposobu zabezpieczania małoletnich od przeciążania pracą. Niektórzy bowiem przedsiębiorcy umieją mylić czujność nadzoru inspektorskiego. Oto co opowiada korespondent *Tygodnia* piotrkowskiego: „W Sielcu zaczepiłem młodego, bo zaledwie 16-letniego robotnika pewnej przędzalni, zapytując go, ile też może zarobić w ciągu dnia.

— Ja nie w dzień, proszę pana, robię.

— Jak to? Przecież ci nie wolno w nocy pracować, bo jesteś za młody.

— Gdzie tam nie wolno, kiedy każą.

Prowadząc dalej taką gawędkę, dowiedziałem się, że nietylko on, ale i młodsi od niego, 15-letni chłopcy, pracują po całych nocach, nie mając wcale wytchnienia, jak w innych fabrykach, gdzie każdy robotnik pracuje jeden tydzień dniem, a drugi nocą. Tu młodzi chłopcy robią ciągle w nocy, a kobiety w dzień; ten np. biedak już siódmy tydzień czuwa nocami. Trudno było mu nie uwierzyć, spojrzawszy na twarz bladą, wynędzniałą."

W miarę zmniejszania się ruchu emigracyjnego, wzrasta — parcelacyjny. Więksi posiadacze są z tego podwójnie zadowolnieni: po pierwsze, zostaje spora liczba w kraju ludzi, którzy pomimo zwiększonych obszarów ziemi rozstać się z zarobkami nie mogą, gdyż ich zmuszają do tego długi lichwiarskie i inne, jako nieodłączne warunki nabywania działek; powtóre, upadająca szlachta może w korzystny sposób wycofać się z bankructwa, sprzedając ziemię działkami po dobrych cenach. Wielkie ożywienie w tym kierunku panuje od roku w gub. kieleckiej. Podlegają tam parcelacyi nietylko pojedyncze odległe folwarki, ale nawet — według słów gazety miejscowej — majątki o względnej kulturze, stanowiące doskonałą jednostkę gospodarczą. Pomiędzy włościanami istnieją dwa rodzaje nabywców: jedni — za gotówkę, drudzy — za pośrednictwem banku. Przeciętnie za mórg płacą od 75 do 120 rs. Kupujący bez udziału Banku płacą zwykle $^3/_4$ szacunku, łącznie z pożyczką Tow. kred. ziemskiego; resztę należności z 6% uiszczają w dwóch rocznych ratach. Nabywcami popieranymi przez bank są zwykle włościanie miejscowi, mający w pobliżu swe zagrody, lub — „mało zasobni i łakomi na zagon, nabywający działki 6—8-morgowe." Tak drobne parcele, nieobsiane, bez budynków, wymagające znacznego nakładu, nie prędko mogą jako tako procentować. Nabywca musi żyć rok cały z gotówki i utrzymywać inwentarz. Z pomocą do jego ruiny przychodzi lichwiarz w osobie Icka, Jankla, albo chłopa bogatszego, który ściąga sumę z procentem drogą użytkowania gruntów dłużnika. Tym sposobem odbywa się połowanie w mętnej wodzie mniejszych rybek przez większe. Te ostatnie mnożą się coraz bardziej i wypływają na wierzch, stając się wrogim i niebezpiecznym żywiołem dla małorolnych współbraci. Mając większą swobodę ruchu, nabywają działy 25-morgowe, a z czasem, wzmocniwszy się kosztem innych, ogarniętych szałem parcelacyjnym, będą dorównywać przeciętnym posiadaczom herbowym. Nowy „stan obywatelski" tę będzie miał wyższość nad schodzącym z pola, że przy ograniczonych potrzebach utrwali swoje podstawy.

Drogomir.

LIST OTWARTY DO RED. „PRAWDY"

w sprawie naszej nowej brazylijady pana J. Siemiradzkiego.

Szanowny Panie Redaktorze! Od niejakiego czasu p. J. Siemiradzki agituje w *Kraju* nową wyprawę do Brazylii, a ponieważ zwracając się o poparcie do społeczeństwa, zarzuca z dumą swym poprzednikom brak naukowych kwalifikacyj i awanturniczość, więc nie od rzeczy będzie zastanowić się, czy i ten nowy mesyasz przedstawia lepsze nie tytularne, ale i realne rękojmie naukowe. P. S. jest znany ze swych „badań" w górach kielecko-sandomierskich; otóż twierdzę stanowczo, że „badania" te wykazały w panu S. zbyt mało naukowo przygotowanie, a za to zbyt wielką lekkomyślność i zarozumiałość.

Pan S. nie umiał poznać zwykłego rumowiska kwarcytowego i wziął je za morenę lodowcową, a gdy już z samych teoretycznych względów wyraziłem swe powątpiewanie o takiem pochodzeniu rzeczonego utworu (w broszurze „Geograficzny rzut oka na dawną Polskę") pan S. rzucił się na mnie we *Wszechświecie* ze śmieszną fanfaronadą; jednak później geolog Michalski, profesor Instytutu górniczego, swomi badaniami na miejscu potwierdził słuszność naszego powątpiewania o naukowości obserwacyi p. S. (*Pamiętnik fizyogr.*, VIII, 44). Pan S., przystępując z ramienia kasy Mianowskiego do badania stosunków lodowcowych w górach św.-krzyzkich, nie zadał sobie do tego stopnia trudu przygotowania się, że nie wystudyował nawet podręcznika Geologii glacyalnej Heima, albowiem chcąc dowieść lodowcowego pochodzenia rzeczonego rumowiska, powoływał się na takie cechy oszlifowań i szram, które są przeciwwskazaniem śladów lodowcowych (Heim), a na moją wątpliwość śmiał mi zarzucić, że ja z charakteru tych znaków nie zdaję sobie sprawy! I któż miał racyę panie Siemiradzki? Dalej pan S. okazał takie nieprzygotowanie w danej kwestyi, że w polemice ze mną używał nieświadomie takich argumentów *za* pewną teoryę, które są znane w nauce jako argumenty *przeciw*; że na poparcie swych zapatrywań cytował takiego widocznie niezrozumianego autora (Neumayra), który należy do przeciwników tych zapatrywań (wykazałem to p. S. w mych „kronikach geograficznych" w *Wiśle*) itd. itd. Zresztą nie tu miejsce wykazywać wszystkie błędy p. S.; zbyt na to trzeba by było czasu i miejsca, bo p. S. ma niepospolitą zdolność popełniania licznych błędów w nielicznych zdaniach. Dodam tu jeszcze na dowód, jak p. S. prowadzi polemiki, zdanie tak poważnego uczonego, jak p. Michalski, który w tak poważnem piśmie, jak *Pamiętnik fizyogr.* (VII, 45) siląc się widocznie na delikatność wyrażenia zarzuca panu S. w polemikach „niedokładność w posługiwaniu się materyałem literatury" — jest to delikatne, ale wymowne wyrażenie.

Ponieważ p. S. okazał tyle troskliwości i żalu o wydatki społeczeństwa na dawniejsze wyprawy, więc niech mi łaskawie raczy pozwolić, że wyrażę tu również troskliwość i obawę o wydatki na nową wyprawę. Czyby nie lepiej było środki te obrócić na sprawdzenie ścisłości badań pana Siemiradzkiego w naszym kraju, albowiem możliwe błędy brazylijskie będą trudniejsze do sprawdzenia a *eo ipso* łatwiejsze do zrobienia.

Racz panie Redaktorze przyjąć itd.

Wacław Nałkowski.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Według nowych przepisów właściciele fabryk, zakładów przemysłowych, kopalni itd., tudzież przedsiębiorcy robót budowlanych, w razie śmierci, kalectwa i wszelkich uszkodzeń na zdrowiu, odniesionych przez robotnika przy pracy, obowiązani są wynagrodzić go lub jego rodzinę za wszelkie wynikające stąd straty, jeżeli nieszczęście nastąpiło: 1) z powodu niezachowania przepisanych warunków, zapewniających robotnikowi bezpieczeństwo; 2) wskutek niedokładności maszyn, różnego rodzaju narzędzi, kotłów parowych i innych aparatów; przepisy zwracają przytem uwagę, że przy należytej kontroli ze strony fabrykanta, niedokładności takie wymagają stanowczo przerwania czynności danego aparatu; 3) z powodu niedbałego ogrodzenia działających części maszyn, otworów kotłów, kadzi i innych urządzeń fabrycznych, niebezpiecznych dla robotników; wreszcie z powodu nieprzedsięwzięcia środków ostrożności, zapobiegających szkodliwym skutkom produkcyi chemicznej i — 4) z powodu niedbalstwa lub niedostatecznej znajomości fachu tego oficyalisty, któremu powierzono prowadzenie roboty i kontrolę maszyn, albo jeżeli nieszczęście nastąpiło przy wykonywaniu przez robotnika zlecenia, połączonego z widocznem niebezpieczeństwem. We wszystkich tych wypadkach robotnik albo jego rodzina otrzymują odszkodowanie, którego wysokość pozostaje w stosunku do uszkodzenia na zdrowiu. Wszelkie zobowiązania, zawarte przed wypadkiem i dążące do tego, aby utrudnić robotnikowi pozyskanie wynagrodzenia, nie są uwzględniane. Wyznaczone robotnikowi odszkodowanie w formie emerytury nie podlega żadnemu aresztowi.

— Komisya specyalna w sprawie serwitutów w kraju zachodnim zwróciła się do general-gubernatorów kijowskiego i wileńskiego z prośbą o zebranie i dostarczenie jej szczegółowych danych o obecnych stosunkach pomiędzy właścicielami ziemskimi, a włościanami tudzież o przedstawienie projektu wykupienia praw służebnościowych. Według doniesień *Graždanina*, w gub. północno i południowo-zachodnich rozesłane wkrótce będą szematy do władz powiatowych i gubernialnych z poleceniem zaznaczenia w nich ilości majątków, obciążonych serwitutami wszelkiej kategoryi.

— Ogłoszono Najwyżej zatwierdzoną ustawę Towarzystwa wzajemnej pomocy subjektów i majstrów techników fabrycznych w Tomaszowie rawskim.

— Kolej Wiedeńska pozwoliła na bezpłatny przejazd 200 wychodźców brazylijskich od Aleksandrowa do wskazanych przez nich stacyj.

— W Wiedniu komisya Izby uchwaliła uwolnić na lat trzydzieści od podatków i opłat tanie domy dla robotników.

— Na mocy ustawy niemieckiej, o zabezpieczeniu robotników od starości i kalectwa, która z dn. 1 stycz. r. b. weszła w życie, już 75,000 robotników uzyskało prawo do renty starości; 33,000 podań jest obecnie w rozpatrywaniu.

— *Journal de St. Petersbourg* pisze: „Baron Hirsch polecił Arnoldowi White, znanemu badaczowi warunków kolonizacyjnych w Afryce, zebrać w Rosyi dane co do utworzenia w Ameryce południowej kolonii żydowskiej z ludności izraelskiej zamieszkałej w cesarstwie.“

— Z Berlina donoszą, iż w dziewięciu wielkich przedsiębiorstwach i fabrykach zarządy zezwoliły na ośmiogodzinny dzień pracy.

Reforma pospolitego ruszenia. Według nowych przepisów siły pospolitego ruszenia podzielono na dwie główne kategorye: do pierwszej należą młodsi, do drugiej — starsi. Pierwsi powoływani są przez ukazy Najwyższe, wydane do senatu i przeznaczani są do formowania oddzielnych części wojsk zapasowych, tudzież do skompletowania w razie potrzeby szeregów armii czynnej. Druga kategorya powoływaną bywa jedynie na mocy Najwyższych Manifestów i użytą będzie do utworzenia szczególnych części, jak oddziałów pośpiesznych, secin kawaleryjskich, bateryj artyleryjskich itd. Do pospolitego ruszenia zalicza się wszystka ludność męzka, zdolna do noszenia broni do 43 roku życia włącznie. Wszystkim bez wyjątku członkom pospolitego ruszenia przysługują odpowiednie prawa i przywileje służby wojskowej, przyczem nie tracą oni praw, z których korzystali przed powołaniem do szeregów, tj. pobierają takie pensye, jakie otrzymywali na cywilnej służbie rządowej i korzystają nawet z kwater, jakie im się należały podczas sprawowania urzędów służby cywilnej. Osoby, które otrzymały odpowiednie wykształcenie, przeznaczane są na posady oficerskie, specyaliści zaś, jak lekarze, felczerzy, powoływani będą do pełnienia obowiązków, zgodnych z ich wiedzą i stanem. Jeszcze dawniej wydano rozporządzenie, na mocy którego osoby, służące na kolejach, w obronie państwowej będą sprawowały służbę w wydziale wojenno-komunikacyjnym. Do sformowania pospolitego ruszenia przyjęto termin ostateczny dn. 28. Termin ten może być przedłużony tylko w razach wyjątkowych. Każdy zaliczony do pospolitego ruszenia w razie powołania do szeregów winien załatwić się ze swemi sprawami domowemi w przeciągu trzech dni i stawić się w oznaczonym punkcie na termin, licząc po 25 wiorst na dobę.

Szkoły. Projekt ustawy kursów handlowych dla kobiet w Petersburgu jest już opracowany. Wykłady rozpoczną się w sierpniu r. b.

— Szkoła ogrodnicza w Częstochowie otwarta będzie 13 go września r. b. Opłata szkolna z całkowitem utrzymaniem wynosić będzie 120 rs. rocznie. Zapisy już się odbywają; wakansów jest na początek 60.

— Rada państwa postanowiła przemianować szkołę techniczną zarządu pocztowo-telegraficznego w Petersburgu na „Instytut elektro-techniczny.“

— Otwarcie Instytutu medycznego dla kobiet nastąpi z początkiem przyszłego roku szkolnego.

— Stała komisya do spraw wykształcenia technicznego poruszyła kwestyę opracowania normalnej ustawy szkół profesyonalnych żeńskich.

— Rząd niemiecki reformuje studya lekarskie w uniwersytetach. Przedłużone będzie kształcenie praktyczne.

— Ministeryum oświaty wydało w tych dniach rozporządzenie o warunkach przyjmowania do projektowanych szkół technicznych nowego typu uczniów gimnazyów duchownych. Wstęp mają ci, którzy ukończyli 5 klas gimnazyalnych z pomocyą do 6-ej. Wymagany będzie od nich egzamin dodatkowy z fizyki i rysunków technicznych, algebry i geometryi w zakresie 5 klas szkół realnych. Od uczniów gimnazyów klasycznych, którzy ukończyli 6 klas, egzamin dodatkowy wymagany będzie tylko z fizyki (kurs 5-ej kl. szkół realnych). Wychowańcy seminaryów duchownych zdają egzamin dodatkowy z matematyki, fizyki, rysunków i języków nowożytnych.

Sprawy kolejowe. Czasowy zarząd kolei rządowych opracował projekt kasy emerytalnej dla robotników. Emerytury będą wydawane tym, którzy przynajmniej 15 lat brali udział w kasie. Kapitał kasy tworzy się z procentu od czystego dochodu kolei, tudzież z potrąceń $1\frac{1}{2}$% od pensyi każdego robotnika. W razie śmierci uczestnika, emerytura będzie wydawana wdowie po zmarłym, albo jego dzieciom.

— Do komitetu ministrów wniesiono projekt budowy kolei z Jelen do Starego Oskola.

Wypadki. Koło Bazylei zawalił się most kolejowy i runął z pociągiem do rzeki. Zginęło 120 osób, ranionych 150.

Zmarli. Felicya Szymanowska w Warszawie; przez długi czas właścicielka i przełożona pensyi żeńskiej. Autorka powiastek dla dzieci i Gramatyki polskiej.

— Fryderyk Fleser, w Stanach Zjedn. Wybitny publicysta niemiecki.

Okólnik do pp. artystów malarzy, rzeźbiarzy i budowniczych.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ma honor podać do wiadomości pp. artystów malarzy, rzeźbiarzy i budowniczych, iż w roku 1892, w czasie pomiędzy 1 i 15 czerwca, otwarta będzie w Monachium Wystawa Sztuk Pięknych międzynarodowa. Każdemu artyście przysługiwać będzie prawo do przesłania na pomienioną Wystawę najwyżej trzech prac swoich z ostatnich lat dziesięciu, z wyjątkiem artystów malarzy, z których będzie mógł przesłać po trzy swoje dzieła z każdego rodzaju malarstwa, tj. po trzy obrazy olejne, po trzy pastele, po trzy akwarelle itd. — Termin dostawy dzieł do Monachium oznaczono na 15 kwietnia. O otrzymaniu szczegółowych regulaminów i druków na deklaracye, Komitet Towarzystwa nie omieszka natychmiast zawiadomić o tem pp. artystów przez tutejsze pisma publiczne.

Nadto, Komitet ma honor przypomnieć pp. artystom malarzom, iż w miesiącach styczniu i marcu 1892 r. odbędą się w Towarzystwie dwie wystawy *konkursowe* malarskie: w styczniu — Wystawa Towarzystwa i w lutym — Wystawa imienia Józefa Kuryerowa, z nadmienieniem, iż prace przysłane na obie te wystawy, po zamknięciu onych, będą mogły być wysłane przez Towarzystwo na Wystawę międzynarodową do Monachium, na wskazany wyżej termin 15 kwietnia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 7 Іюня 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.